

W PRZEZŁOŚĆ DYMIĄCEJ HUTY



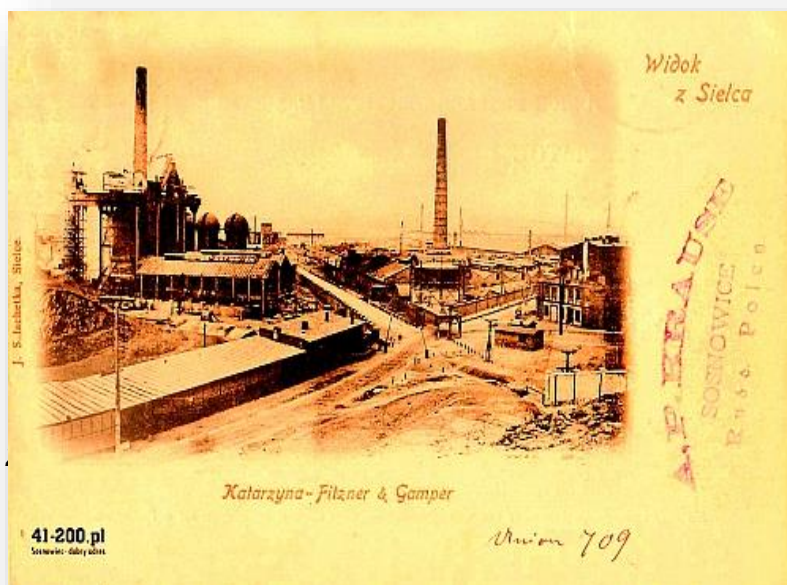
Rysunek autora. Pejzaż z lat 50. XX wieku. Podwórko osiedlowe z Huty „Katarzyna” przy, którym od XIX wieku mieszkali już moi dziadkowie – Marianna i Wawrzyniec Doros.

W 1881 roku powstają pierwsze elementy budowlane i produkcyjne Huty „Katarzyna”. Już niebawem w tej hucie znajdzie zatrudnienie kilka tysięcy miejscowych i napływowych osób. Od samego niemal początku, bowiem już od 1895 roku podejmie w niej też pracę mój dziadziuś, Wawrzyniec Doros.- ojciec mojej mamy, Stefani Maszczyk. Później w jej murach po 1950 roku , aż do swej śmierci w 1954 roku będzie tam jeszcze pracował także mój ojciec, Ludwik Maszczyk.

Jest rok 1880. Państwo Polskie jeszcze nie istnieje, zostało nawet wymazane nie tylko z mapy Europy, ale niestety też z wielu sumień oraz serc stopniowo i skutecznie rusyfikowanych Polaków. Sosnowieckie wsie, osady i osiedla prawa miasta uzyskają dopiero za zgodą cara Imperium Rosyjskiego w 1902 roku. Jak to symptomatycznie określił nieżyjący już badacz dziejów Sosnowca pan Jan W. Przemsza Zieliński w wydaniu „Z przeszłości Zagłębia Dąbrowskiego i okolicy”, to w drugiej połowie XIX wieku do tej „największej wsi na świecie” docierają już kolejni kapitaliści spoza zaboru carskiego, głównie z Cesarstwa Niemieckiego.

Wówczas Katarzyna, podobnie jak stykający się już z nią Konstantynów i położona o krok dalej Środula, są jeszcze w zasadzie terytoriami nierozpoznawalnymi, głównie jednak przez pierwszych przybyszy jacy tu zawitają za chlebem i pracą z sąsiednich i dalszych wiosek Królestwa Polskiego. Bowiem o cudzoziemcach to nawet już nie wspominam, gdyż oni to już z pewnością całkowicie zatracili w tym zakresie jakiegokolwiek rozeznanie. Zamieszkujący więc te tereny dotychczasowi mieszkańcy, przeważnie uboga polska ludność, podobnie jak stosunkowo duża też rzesza grupka osób przyjezdnych, będą więc te tereny przez dłuższy jeszcze okres czasu zaliczali jeszcze wyłącznie tylko do Sielca. W roku 1929 Stanisław Andrzej Radek tak wspominał tamte czasy i te okolice w swoim wydaniu książkowym pt. „Rewolucja w Zagłębiu Dąbrowskim 1894 – 1905 – 1914 z licznymi ilustracjami („wyd. Sosnowiec, 1929. S.28”.; tekst zgodny z oryginałem):

- „Robotnicy w dzisiejszym Zagłębiu, a blisko trzydzieści lat temu, to ogromna różnica. Nie tylko tu szkół nie było, nie wychodziło ani jedno pismo, nie było żadnych instytucji oświatowych; ówczesni górnicy, to przeważnie analfabeci, zapędzeni pracą, zgnębieni biedą, maltretowani przez dozorców, bici przez policję, terroryzowani przez bandy zorganizowanych złodziei – ledwie, że żyli i to jakby z łaski tych wszystkich ‘potęg’ przemożnych i wielmożnych”.



Źródło: pan Paweł Ptak.

Pocztówka pochodzi jeszcze z początków XX wieku. Proszę zwrócić też uwagę na pieczęć, gdyż widnieje jeszcze na niej napis – „SOSNOWICE”. Prawdopodobnie została wydana w związku z sensacyjnym, bowiem dotąd niespotykanym na tych wiejskich terenach uruchomieniem wielkich pieców hutniczych w 1890 i 1895 roku.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa autor tej pocztówki, w chwili jej utrwalania na szklanych kliszach, do tego jeszcze ciężkim aparatem więc zmuszony był go postawić na solidnym statywie, to nie znał jeszcze wtedy absolutnie nowych nazw topograficznych tych terenów. Nie kojarzył więc, że utrwała aparatem fotograficznym nie integralne daleko położonego tereny Sielca, ale konkretne już funkcjonujące wśród tutejszego społeczeństwa topograficzne rejony **Katarzyny** i **Konstantynowa**. Dlatego więc na starych pocztówkach utrwalających głównie Hutę „Katarzynę” z jej wielkimi piecami hutniczymi i obok niej

fabrykę K. Fitzner i W. Gamer widnieje więc tylko napis jako - „**Widok z Sielca**”, a nie widok na Katarzyną i Hutę „Katarzynę” (powstała w 1881 – 1883) i fabrykę w Konstancyńowie – K. Fitzner i W. Gamper (powstała w 1881 r.). Również to powyższe cytowane określenie dokonane przez pana St. Andrzeja Radka odnosi się więc też zapewne do całej rzeszy zatrudnionych wtedy w Sosnowcu robotników i ich rodzin. Niebawem jednak, dzięki rozbudowie przemysłu i zdobyciu wykształcenia, ich dzieci i bardziej inteligentni przyjezdni już bez trudu i nawet z dużą dozą dokładności będą odróżniali Środulę od Konstancyńowa, jak również Katarzynę, od Sielca. Tym bardziej, że Sielec był przecież i tak o wiele znacznie dalej położona od Katarzyny i Konstancyńowa.

* * * *

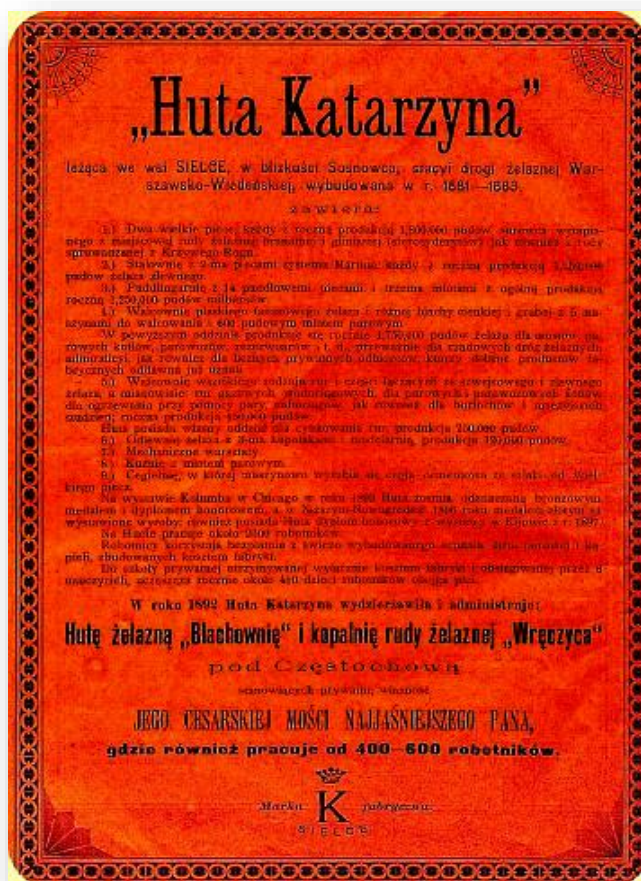
Mimo, że huta już stoi i niemiłosiernie do tego jeszcze dymi oraz zatrzuwa też powietrze, to wokół niej jak okiem tylko sięgnąć nadal zalegają jeszcze rozległe i niezagospodarowane pod względem urbanistycznym i ulicznym tereny, a w stronę dzisiejszego Katarzyńskiego Pekinu ciągną się jeszcze ogromne obszary kolorowych i rozśpiewanych ptactwem łąk, pastwisk i uprawnych pól. Natomiast w kierunku zachodnim zalegają już tylko ugory i dzikie łąki, porośnięte tylko drobną, niemal skarlowaciałą, bowiem zaduszaną od bagien sosną. Te okolice im bliżej były położone przy rzece Czarnej Przemszy, to tym bardziej zamieniały się w coraz to bardziej i bardziej podmokłe, a nawet i bagniste przestrzenie. Jednak już nieco dalej, gdyż za tą szeroko toczącą swe wody krystalicznie czystą rzeką, na dzikiej jeszcze wtedy i niezagospodarowanej okolicy, już od 1859 roku przebiegało główne torowisko Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej (*Варшавско-Венская железная дорога*), określane jeszcze wtedy nie jako kolej ale jako Droga Żelazna Warszawsko – Wiedeńska. Była to już jednak pierwsza w dziejach linia kolejowa jaka pojawiła się na tej, przygranicznej jeszcze wówczas krainie. To właśnie dopiero co poprowadzona kolej, podobnie jak czysta też rzeczna woda i drzemiące tu od wieków pod ziemią ogromne pokłady węgla kamiennego oraz zręczne granie przez carat cłami eksportowymi, spowoduje to, że lokowanie inwestycji na tych wiejskich gruntach stanie się prawdziwą kopalnią pieniędzy i prawdziwym złotym eldoradem dla ludzi z żyłką do interesów, głównie reprezentujących jednak obcy kapitał. Jako pierwsi przedstawiciele świata fabrykanckiego, już w 1877 roku, na tych prawie jeszcze opustoszałych terenach pojawiają się więc wysłannicy z pruskiego towarzystwa akcyjnego założonego przez hrabiego H. Henckela von Donnersmarcka - Vereinigte Koenigs- und Laurahutte, z siedzibą w Berlinie, którzy po wstępnej transakcji nabywają od niemieckich właścicieli krainy Modrzejowa i Sielca - hrabiego Mortimer von Tschirsky-Renard i hrabiny Eufemii Eulenburg-Prassen - część jeszcze wtedy określanej jako wieś - **Sielca**. I tak na tych wiejskich i porośniętych jeszcze lasami obszarach w latach 1881-1883 powstanie huta, która swą nazwę przyjmie nie od Świętej Katarzyny ale od imienia Katarzyny II Aleksiejewnej Wielkiej. Carycy Rosji, pochodzenia niemieckiego, notabene monarchini, która zawsze była nieprzychylnie ustosunkowana do Polaków.

Drugim w kolejności przybyszem, który dotrze na tereny sieleckie, będzie siemianowicki fabrykant kotłów parowych pan Wilhelm Fitzner, który już w roku 1880 obok przebiegających w Konstancyńowie torów Drogi Żelaznej Warszawsko–Wiedeńskiej uruchomi „*wytwórnię kotłów, przewodów rurowych, konstrukcji stalowych oraz aparatów dla cukrowni, gorzelni i fabryk chemicznych*”.

* * * *

Już w okresie od 1890 do 1895 roku zostaną w Hucie „Katarzyna” wybudowane dwa wielkie piece do produkcji surówki, każdy z nich z roczną „*produkcją 1.800.000 pudów surowca wytapianego z miejscowej rudy żelaznej brunatnej i gliniastej (sferosyderytów), jak również z rudy sprowadzanej z Krzywego – Rogu*”. Huta w tym czasie dysponuje też specjalną stalownią z „*2 – ma piecami systemu Martina*”, więc każdy z tych pieców jest w stanie wyprodukować w ciągu tylko jednego roku „*1.250.000 żelaza zlewnego*”. Ponadto huta dysponuje już nowoczesną, jak na ówczesne raczkujące przemysłowe czasy, „*puddlingarnią z 14 puddlowemi piecami i trzema młotami* (przyp. autora: - wszystkie cytaty są zgodne z oryginalną pisownią z poniższej ulotki)”. Roczna produkcja puddlingarni sięgała aż „*1.250.000 pudów milbarsów*”. Już w roku 1894 Huta „Katarzyna” podejmie też kooperację z usytuowaną na wsi

Pogoń - „Rurkownią Huldczyńskiego” - gdzie odpłatnie do dalszej przeróbki przekazywane są duże ilości wyprodukowanych u siebie blach i wstęg. W nowouruchomionym wydziale walcowni blach, wyposażonym w 5 maszyn do walcowania i 600-tonowy młot parowy produkowano więc rocznie „1.750.000 pudów żelaza”, w tym blachy cienkie i grube, jak również płaskowniki z przeznaczeniem do budowy mostów, kotłów parowych i parowozowych oraz innych jeszcze urządzeń, w których niezbędne były elementy metalowe. Większość produkcji z tego wydziału przeznaczona została jednak „dla rządowych dróg żelaznych (przyp. autora: - czyli Rosji Carskiej)”. Natomiast tylko część odsprzedawano też „prywatnym odbiorcom”.

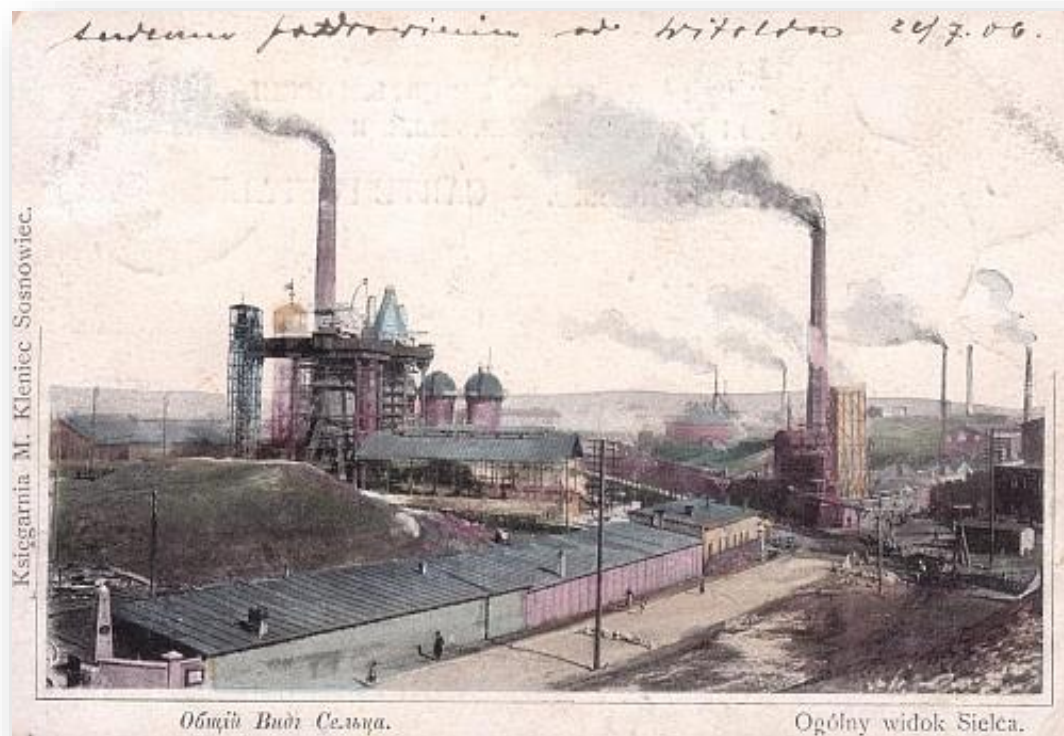


Ulotka reklamująca produkcję i osiągnięcia uruchomionej w latach 1881-1883 Huty „Katarzyna”.

W roku 1896 uruchomiono też duży oddział produkujący różnego rodzaju i przeznaczenia rury spawane oraz „części łączące ze szwajcowego i zlewne żelaza”, a mianowicie: rury gazowe, wodociągowe, do kotłów parowych i do parowozowych, naftociągów, „jak również dla burlochów i artezyjskich studzien”. Roczna produkcja w tym wydziale już wówczas będzie wynosiła 450.000 pudów. Huta dysponowała też kilkoma własnymi specjalistycznymi oddziałami: cynkowania rur – z roczną produkcją 250.000 pudów, odlewnią żelaza „z trzema kupolakami i modelarnią – roczna produkcja 120.000 pudów”, mechanicznymi warsztatami, specjalną kuźnią z wielotonowym młotem parowym, własną cegielnią, w której już wtedy, w tak odległych latach, potrafiono wykorzystywać własny żużel wielkopieczowy do produkcji doskonałej jakości cegieł, w kolorze jasnym z wyraźnym dominującym odcieniem bieli, o czym znacznie więcej w dalszej części tej publikacji.

* * * *

W październiku 2015 roku otrzymałem od redaktora portalu Sosnowiec Archiwum - znanego zresztą w Sosnowcu badacza i gloryfikatora dziejów Sosnowca, pana Pawła Ptak - starą pocztówkę, prawdopodobnie dokumentującą akt uruchomienia tych dwóch wielkich pieców hutniczych, co jak na powstałe dopiero miasto Sosnowiec było w tamtych czasach nie tylko w sferze hutnictwa, ale niezwyklej postępu technologicznego wydarzeniem wprost epokowym. Tę pozyskaną, unikatową dla mnie pocztówkę prezentuję poniżej.

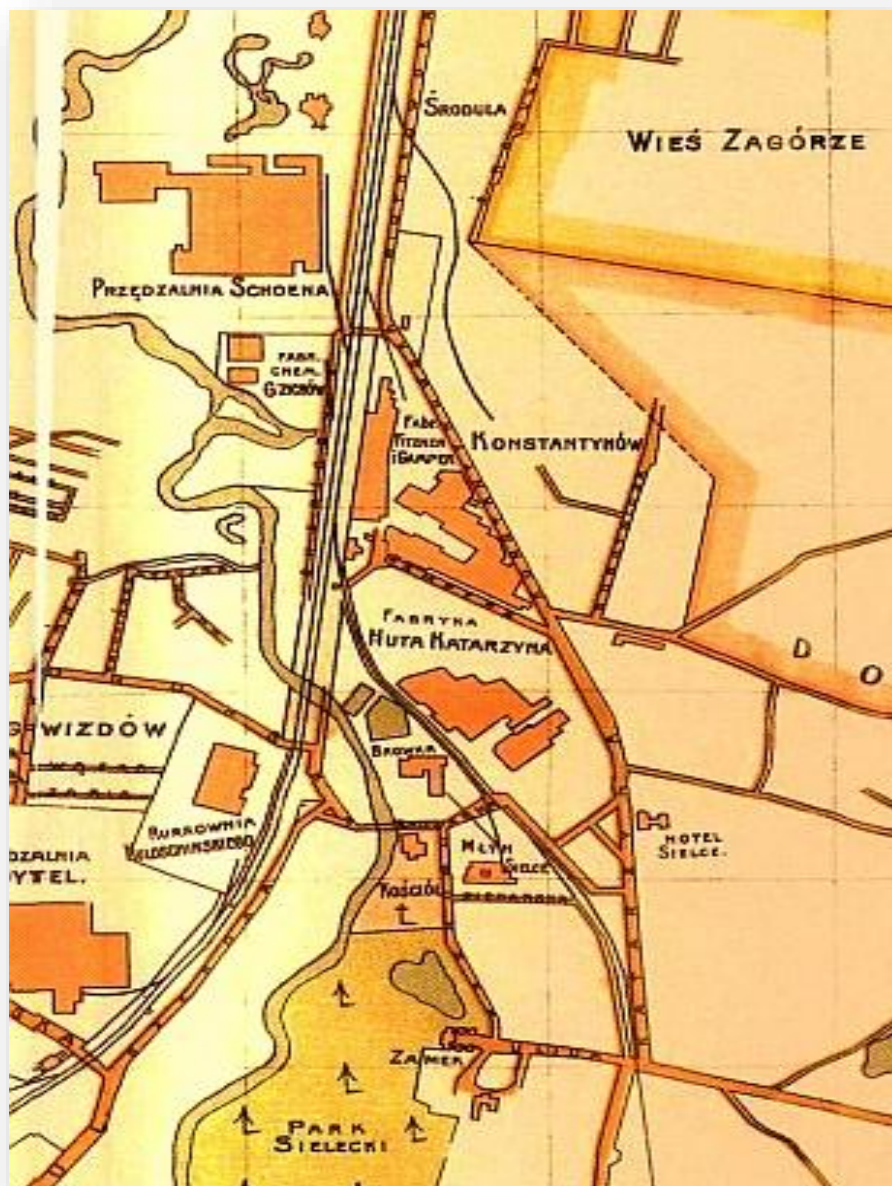


Źródło: Paweł Ptak

Zdjęcie prawdopodobnie pochodzi z początków XX wieku, gdy istniało już miasto Sosnowiec, a jej producent przedstawia „**Ogólny widok Sielca**”. Widnieje też na niej odręcznie napisana data 22 lipca 1906 roku. Patrząc na tę pocztówkę, autorowi rzuca się w oczy przede wszystkim panujący wokół Huty „Katarzyna” i sąsiadującej z nią fabryki „W. Fitzner i K. Gamper”, ogromny, trudny nawet do logicznego ogarnięcia galimatias i prymitywizm w postaci widocznych klepiskowych ulic i ich poboczy. Oraz co jest jeszcze niezmiernie na tym zdjęciu ciekawe? Ano to, że jest na tym zdjęciu niewidoczna zupełnie powstańcza styczniowa kapliczka, która ponoć, według sosnowieckich autorytetów, stoi już w Konstancyńowie od 1863 roku.

Na prezentowanej pocztówce jest też widoczna nie miejska arteria w postaci ulicy, ale jeszcze typowa wiejska droga. Jej fragment jest utrwalony po lewej stronie, tuż obok postawionej już zabudowy fabrycznej Huty „Katarzyna”. Jak się okazuje, owa rozlana szeroka jasna łąka piachu, jeszcze w roku 1907 była już jednak ulicą, zwaną „**Katarzyna**”, a niebawem będzie to już tylko fragment ulicy **Staszica**. Na jej dalszym odcinku w kierunku Konstancyńowa i Środuli, widnieje to samo pasmo drogi, ale już o zupełnie innej nazwie. A mianowicie jako ulica **Konstancyńowska**, która później stanie się też ulicą **Staszica**. Natomiast stykająca się z nimi po lewej stronie dróżka, wyraźnie odbiegająca w kierunku wielkich hutniczych pieców i ciągnąca się pomiędzy Huta „Katarzyna”, a fabryką kotłów parowych „W.

Fitzner i K. Gamper”, to nic innego jak tylko klepiskowa jeszcze wtedy ulica **Gampera** (obecna uliczka Fabryczna). Te uliczki zostały już też utrwalone i opisane na poniżej prezentowanym fragmencie Planu Sosnowca z 1907 roku, opracowanego przez pana Michała Klenicę.



Fragmety Planu Sosnowca z 1907 roku pana Michała Klenicy.

Mnie akurat te odkrycia na temat tutejszej nędzy, analfabetyzmu i rozbojów, opisane powyżej przez pana Stanisława Radka, jak również panujący tu niemal totalny bałagan, jaki jest widoczny na prezentowanej powyżej pocztówce, którą pozyskałem od pana Pawła Ptak, nie powinny jednak aż tak niepomrotnie dziwić, gdyż według wspomnień mojej rodziny zamieszkującej już te tereny od 1895 roku, to taki oto tok kulturowy serwował nam właśnie zabór Rosji carskiej. Nie ulega wątpliwości, że w dużym jednak stopniu był on też akceptowany bez jakiegokolwiek krytycyzmu przez miejscową już ludność jak również i przez masy napływającej w te strony ludności z pobliskich i dalszych wsi. Dla nich bowiem, w

zdecydowanej większości, to co tu, na tym terenie, nagle ich zdumione oczy odkrywały, to było istne eldorado, a jedyną ich życiową troską było znalezienie jakiegokolwiek tylko pracy oraz byle jakiego mieszkania i wykarmienia, najczęściej już licznej rodziny. Przecież zdecydowana ich większość to byli po prostu prości ludzie i do tego jeszcze analfabeci, całkowicie pozbawieni jakichkolwiek potrzeb intelektualnych i kulturowych. Garb analfabetyzmu – co już sam widziałem - wielu z nich będzie więc dopiero z siebie zrzucało po 1945 roku, na organizowanych pośpiesznie przez komunistyczne władze przeróżnych, tak zwanych doształceniowych kursach. Takie kursy jak pamiętam to dla analfabetów zostały zorganizowane w dawny urzędniczym Kasynie, przy Placu Tadeusza Kościuszki, a wówczas już przekształconym na dom Kultury Huty „Sosnowiec”.

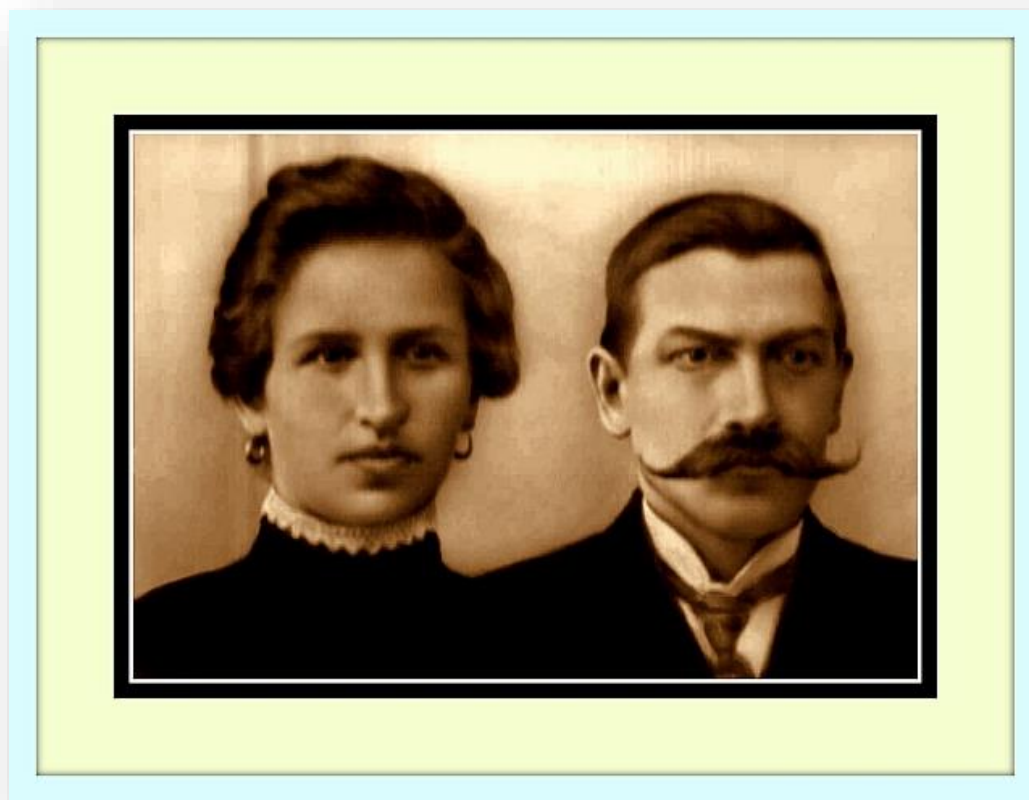
W tej bezpłatnej akcji doształcania robotników brała też udział moja mama, jeszcze wtedy jako nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 9 im. Tadeusza Kościuszki w Sosnowcu (dawna Szkoła Aleksandrowska). Absolutnie tego okresu czasu jednak nie gloryfikuję, stwierdzam tylko znane mi doskonale z autopsji fakty.

* * * *

Za doskonałą jakość swych wyrobów już w XIX wieku Huta „Katarzyna” będzie wielokrotnie odznaczana, między innymi otrzyma: brązowy medal i honorowy dyplom na wystawie Kolumba w Chicago (1893) i w Niżnym – Nowogrodzie (1896) oraz złoty medal i dyplom honorowy w Kijowie (1897). W roku 1892 Huta „Katarzyna” wydzierżawia i administruje też „*Hutę żelazną 'Blachownię' i kopalnię rudy żelaznej 'Wręczyca' pod Częstochową*”, która w tamtych latach, jak to wynika z ulotki reklamowej, „*stanowiła prywatną własność JEGO CESARSKIEJ MOŚCI NAJJAŚNIEJSZEGO PANA*”. Cytat oryginalny z ówczesnej reklamówki Huty „Katarzyna”. W tym przypadku proszę jednak uprzejmie zwrócić uwagę na poddańczy stosunek ówczesnych niemieckich fabrykantów do zaborców z Rosji Carskiej. W tych dwóch dodatkowo dzierżawionych zakładach pracy zatrudniano jeszcze wtedy około 600 robotników. Do I wojny światowej - czyli dalej w okresie zaborów Rosji carskiej - w samej tylko sosnowieckiej Hucie „Katarzyna” zatrudniano już jednak aż około 2 tysiące pracowników.

* * * *

Mój dziadziuś Wawrzyniec Doros osiedlił się w pobliżu powstałej i niemiłosiernie już wtedy dymiącej Huty „Katarzyna” pod koniec XIX wieku, a konkretnie to w 1895 roku. Przed przybyciem w te strony urodził się w rodzinie chłopskiej, we wsi Skowronno, opodal miasta Pińczów. Jako człowiek niezwykle bystry i ciągle chłonny wiedzy już jako młodzieniec był bibliotekarzem w Chrobrzu, w majątku margrabiego Aleksandra Wielopolskiego herbu Starykoń (ur.13.III.1803 r. w Sędziejowicach, zm.30.XII.1877 r. w Dreźnie) leżącego opodal Pińczowa. Znanego zresztą wtedy polityka, ordynata pińczowskiego. Babcia z kolei, od wielu pokoleń mieszcanka, pochodząca z bogatej rodziny, urodziła się w mieście - Pińczowie. Jej ojciec, a dziadek mojej mamy, po wręczeniu carskim sędziom wysokiej łapówki, uratował się przed zesłaniem na daleką syberyjską katorgę za udział w Powstaniu Styczniowym, ale „łaskawym” ukazem carskim po uwolnieniu z więzienia musiał wraz z całą rodziną opuścić miasto Pińczów i osiedlić się w pobliskiej wsi Kopernia. To była wówczas ponoć jedna z najmniej dotkliwych kar, jakie stosował okupant carski wobec Polaków zamieszkujących nasze wsie i miasta za bezpośredni udział w Powstaniu Styczniowym, lub nawet tylko za jego wspieranie.



Powyższe zdjęcie pochodzi z końca XIX wieku. Moi dziadkowie z rodziny mojej mamy. Babcia – Marianna (rodowe nazwisko Cichońska) i dziadzius Wawrzyniec Doros.

Dziadzius, jak już wyżej wspominałem, rozpoczął pracę w Hucie Katarzyna już w 1895 roku, gdy jeszcze wokół tej okolicy zalegały łąki i pola, a wśród nich kryły się byle jak sklecone niskie zabudowania. Wprawdzie na Konstancyńcu, Katarzynie i Śróduli stawiano już pierwsze kamieniczki, ale najwyżej dwupiętrowe, o wyjątkowo jednak mizernym wizerunku. W jednej takiej kamieniczce na Konstancyńcu moi dziadkowie początkowo wynajęli mieszkanie, by już pod koniec XIX wieku (dokładny rok ?) osiedlić się już na stałe w przyznanym im mieszkaniu na nowo co dopiero stawianym przez Hutę „Katarzyna” ceglastym osiedlu. Na tym osiedlu i w tym samym mieszkaniu mój dziadzius będzie mieszkał do chwili swej śmierci w 1950 roku. Natomiast moja babcia już po niehumanitarnej z tego mieszkania eksmisji, umrze w przydzielonej jej w tym samym budynku, ale na poddaszu malutkiej izdebce, z mieszkalną przybudówką. Ale dopiero w 1986 roku.



Zdjęcie autora z 2020 r. Fragment zabudowań z Osiedla Mieszkaniowego wzniesionego przez Hutę „Katarzyna”. Pierwszy po prawej stronie budynek, w którym w XIX wieku zamieszkali już moi dziadkowie – Doros.

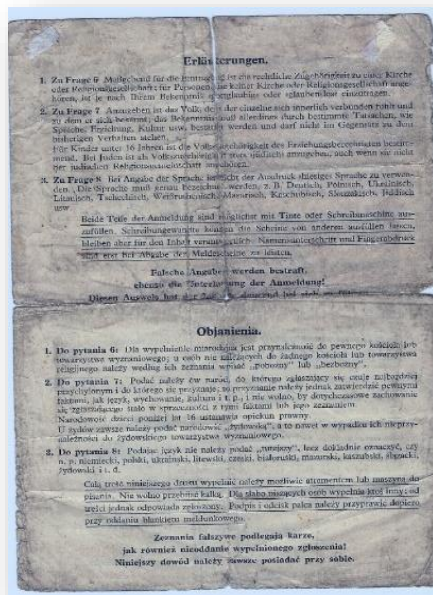


Rysunek autora – pejzaż z lat 50. XX wieku. Końcowe fragmenty osiedla Huty „Katarzyna”. W ostatnim po prawej stronie dwupiętrowym budynku mieszkali moi dziadkowie. Budynki na tym osiedlu wznoszono na przestrzeni ostatnich lat XIX i XX wieku.

* * * *

W tym czasie o powstaniu miasta Sosnowca zapewne nikt jeszcze nawet nie myślał, a termin Zagłębie Dąbrowskie zaledwie tlił się w świątłych umysłach jego twórców. Aby móc pracować na stanowisku kierowniczym, dziadek musiał więc najpierw jednak uzupełnić nie tylko swoje techniczne kwalifikacje, ale i poznać też w stopniu bardzo dobrym język niemiecki właścicieli tego przedsiębiorstwa, gdyż język okupanta Rosji carskiej znał już wtedy doskonale. Podobnie zresztą jak wielu też Polaków, którzy musieli go opanować przynajmniej w stopniu dobrym podczas nauki szkolnej. Były to bowiem jeszcze takie lata, w których podstawową i jedyną w zasadzie mową, jaką się mogli posługiwać w szkole polscy uczniowie, był język okupanta carskiego. To warunkowe uzupełnienie niemieckiego języka i pogłębienie zawodu wybrał jednak wówczas wyjątkowo niefortunnie, gdyż z chwilą tylko pojawienia się konfliktu i wybuchu I wojny światowej, został internowany przez Niemców do pracy w koncernie stalowym Kruppa, w mieście Essen. A później jeszcze przez cały kilkuletni okres I wojny światowej, wbrew swej woli, musiał dalej pracować poza swoim domem, na zupełnie obcej mu ziemi. W tym samym

rozległym przedziale czasowym całkowicie osamotniona moja babcia musiała opuścić Sosnowiec i tułać się z pięciorgiem dzieci po dawnym rodzinnym Pińczowie. Dopiero pod koniec 1918 roku, gdy Polska już była wolna, dziadziuś przybył z Niemiec i wtedy już wspólnie z babcią w Sosnowcu podjęli trud dalszego wychowania swych pociech.



Powyżej palcówka mojego dziadziusia z czasów ostatniej okupacji niemieckiej (lata 1939 – 1945). Po lewej awers, a po prawej rewers.

Jak wspominał po latach mój dziadziuś to „przez wiele lat przebywałem w Niemczech w Essen i doskonale już wtedy poznałem niemiecką mentalność i ‘wyższe walory intelektualne’ tamtych ludzi. Niemcy prawie powszechnie mieli jednoznaczną opinię o Polakach jako o narodzie prymitywnym, zacofanym i głupim”. Niemiecki kapitał i jego właściciele, którzy już w XIX wieku tak licznie osiedlali się na ziemi zagłębiowskiej, absolutnie nie inwestowali więc w odrodzenie Polski i dobrobyt Polaków, jak to niestety wielu dzisiaj naiwnych moich rodaków sądzi, gdyż Ojczyzna nasza już wtedy od ponad 123 lat nie istniała i wymazana została, tak jak i Naród Polski, nie tylko z mapy Europy, ale i mimo woli też z pamięci niemieckich przybyszów. Zresztą przy rozważaniu tego typu aspektów historycznych należy uwzględnić jeszcze jeden istotny fakt, że niemieccy fabrykanci i ludzie interesu, przybywali przecież w XIX i na początku XX wieku nie do Polski, tylko na zachodnie rubieże wielkiego Cesarstwa Rosyjskiego, gdyż wtedy po prostu jeszcze nikt będący przy zdrowych zmysłach nawet nie mógł przewidzieć, iż Polska w 1918 roku stanie się już wolnym, niezawisłym i do tego jeszcze suwerennym państwem. Niemieccy kapitaliści doskonale wiec sobie zdawali sprawę z tego, kto tu jest „panem”, a kto powinien być tylko „robolem”. Zamieszkujący odwiecznie te tereny Polacy i przybysze z innych stron zniewolonej jeszcze wtedy Polski mieli więc tylko służyć i w zasadzie w wielu przypadkach tylko służyli za fornała, robotnika, czy górnika dla dobrobytu niemieckich kapitalistów i Rosji carskiej. Ponieważ każdy osąd, nawet ten z pozoru najsprawiedliwszy, ma jednak też i drugie, niejednokrotnie ukryte oblicze, należy więc uczciwie też podkreślić, że w wielu przypadkach ta pozornie krzywdząca wobec nas polityka kadrowa ze strony obcych fabrykantów podyktowana też była czynnikami czysto prozaicznymi. Po prostu zdecydowana większość Polaków pukająca do bram Huty „Katarzyna” nie posiadała jeszcze wtedy odpowiedniego wykształcenia. Nie znali nawet kompletnie zachodnich języków, jak również nie posiadali też odpowiednich kwalifikacji zawodowych. Takie niestety ale jest też drugie obiektywne oblicze tego zagadnienia.

W rezultacie, na stanowiskach kierowniczych i dyrektorskich zatrudniano więc tylko nielicznych Polaków, a w zasadzie to tylko Niemców, lub osobników niemieckojęzycznych, których najczęściej sprowadzano z pobliskiego Górnego Śląska. Wśród nich byli również rodowici Niemcy i nasi Górnoszlązacy. Ci ostatni wprawdzie już od wielu, wielu pokoleń, bowiem od prawie 600 lat byli oddzieleni od swej Ojczyzny – Polski, jednak nie zatracili mowy ojczysto - pokoleniowej. Co nie oznacza, że nie potrafili się też posługiwać mową niemiecką. Pośród nich byli jednak także nieliczni osobnicy o polsko brzmiących nazwiskach, którzy podczas okupacji niemieckiej (1939 -1945) okazały swe prawdziwe, niemieckie oblicza. Niektórzy osobnicy pochodzenia niemieckiego, lub wynarodowieni Polacy, spolonizowali się już w okresie II Rzeczypospolitej Polski.

Pierwszym dyrektorem Huty „Katarzyna” został człowiek o polsko brzmiącym imieniu i nazwisku, pan Teodor Skawiński. Czy był jednak w całym tego słowa Polakiem ? O tym w dalszej części tego artykułu. Tylko więc nieliczni osobnicy wywodzący się z polskiej ludności, a pochodzący głównie z miejscowych wiosek i osad oraz z dalszych rejonów Kongresówki, szczególnie z rozległego wtedy powiatu będzińskiego, a także miechowskiego i kieleckiego, byli zatrudniani, ale najwyżej na stanowiskach majstra i to jeszcze po odpowiednim przeszkoleniu zagranicznym. W przekazach publicystyczno – historycznych odnotowano też jednak przypadki, że zatrudnienie na stanowisku dyrektorskim uzyskiwali też osobnicy pochodzenia polskiego, niektórzy jednak by nie utracić intratnego stanowiska, byli do tego stopnia oddani swym niemieckim dobroczyńcom i caratowi, że grali w tej samej antypolskiej i antynarodowej orkiestrze zaborczej.

Może jeszcze tylko wspomnę, że mój dziadziuś wychowany w rodzinie głęboko patriotycznej i religijnej, w której Bóg utożsamiał się zawsze z Narodem i Państwem Polskim, nigdy nie krył swych patriotycznych przekonań i głębokich uczuć religijnych do kościoła rzymskokatolickiego. Prawdopodobnie krytyczne uwagi o nietolerancji i wrogim przez niektórych Niemców stosunku do Polaków ktoś skrupulatnie odnotował i w odpowiednim czasie „życzliwie” też doniósł do niemieckich władz fabrycznych. Tak to przynajmniej podczas okupacji niemieckiej oceniała moja rodzina, gdyż po wielu latach, będąc na stanowisku majstra w wydziale wielkich pieców hutniczych, już w październiku 1939 roku, gdy Niemcy pozornie nie mieli jeszcze rozeznania na tym terenie, nagle został zdegradowany ze stanowiska kierowniczego i skierowany do pracy fizycznej. Podobno w trakcie poufnej rozmowy, ktoś ze środowiska niemieckiego, jego dobry jeszcze znajomy z sentymentalnych i romantycznych lat II Rzeczypospolitej Polski, dyskretnie oświadczył, że i tak „*powinien się bardzo cieszyć z uratowania głowy, gdyż wszyscy doskonale dookoła wiedzą jak się sam zachowywał i w jakim duchu zawsze też wychowywał swoje dzieci, o czym może dobitnie świadczyć skierowanie swojego syna Franciszka na zawodowego oficera Wojska Polskiego*”.

* * * *

Obok przedsiębiorstwa, zgodnie z ówczesnymi trendami socjalno-konkurencyjnymi, aby pracownika zachęcić do pracy w Hucie „Katarzyna”, a raczej powiązać go niewidzialnymi nićmi z tym przedsiębiorstwem, niemiecki właściciel rozpoczął już w XIX wieku budowę robotniczego osiedla pracowniczego. Budynki mieszkalne ceglaste stawiano jednak głównie dla majstrów i wyróżniających się robotników. Obok huty, po przeciwnej stronie dzisiejszej ulicy Staszica, od strony wznoszonej tam żuźlowej hałdy, wybudowano też dwa willowe ceglaste budynki, ale tylko dla kadry dyrektorsko - kierowniczej. Podobno w jednym z nich przez pewien okres czasu zamieszkiwali dwaj dyrektorzy z Huty „Katarzyna”, pan Teodor Skawiński i Ludwik Brandenburg. Jeden z tych willowych budynków przetrwał nawet do czasów współczesnych. Również w odziedziczonych po Gwarectwie „Hrabia Renard” budynkach położonych wzdłuż ulicy Staszica ale od strony wschodniej, z charakterystyczną zabudową

z kamienia wapiennego i ceglanych licach, mieszkali pojedyncze rodziny, w których przynajmniej jedna osoba była zatrudniona w Hucie „Katarzyna”. Zabudowania i hale fabryczne tego sosnowieckiego giganta hutniczego rozciągały się na kilkuhektarowej powierzchni, w kształcie nieregularnego prostokąta.



Zdjęcie autora z 2019 r. Dawne zbudowania Gwarectwa „Hrabia Renard” jakie zostały wybudowane już w XIX wieku poza dawnym Hotelem Sielce, o których wspominam powyżej w tekście tego artykułu.



Zdjęcie z 2007 roku. Fragmenty zabytkowych fabrycznych budowli. Niektóre sięgają jeszcze czasów XIX w. i przełomu XIX i XX wieku. Część z nich jest już niestety pokryta kolorowym tynkiem. Tylko niektóre jeszcze zachowały swe dawne zabytkowe lico. W dalsi, po lewej stronie już widoczne puste przestrzenie – niemi świadkowie wydarzeń z 9 lutego 1905 roku - pozostałości po wyburzonej historycznej portierni, bramie i innych sąsiednich zabudowaniach. W budynku w kolorze białym do lat 60. XX w. mieściły się pomieszczenia biurowe, m.in. Dział Ekspedycji.



Zdjęcia autora z 2007 roku. Widoczna jeszcze stara elewacja z XIX w. część ceglatego budynku po 1945 pełniła funkcję Przychodni Zdrowia.





Zdjęcia autora z 2007 roku. Otynkowane i poprzerażane już elewacje dawnych zabytkowych budynków, a w niektórych przypadkach nawet głębsze doróbki i dobudowania nowoczesnych elementów.

* * * *

Jak podają współczesne internetowe źródła pisemne, w tym „Wiki Zagłębie”: to - „*Jako samodzielny zakład huta „Sosnowiec” funkcjonowała do 1961 r., kiedy połączono ją z hutą im. Mariana Buczka (dawna Huta „Katarzyna”) . Koniec cytatu. Autor z tak sformułowanymi wnioskami nie może się jednak absolutnie zgodzić, gdyż jest to nieprecyzyjne sformułowanie. Jak bowiem z tego zapisu jednoznacznie wynika, to ponoć dwie dotąd odrębne huty stały się nagle jednym przedsiębiorstwem, ale dopiero od 1961 roku i wtedy to dopiero ponoć otrzymały też wspólną nazwę - Huta im. Mariana Buczka. Przynajmniej autor tak ten cytat interpretuje.*

Z tego co natomiast wiem, to już w XIX wieku, gdy tylko powstała na Pogoni „Rurkownia Huldczyńskiego” i troszeczkę dalej Huta „Katarzyna”, od zawsze te dwa zakłady pracy były zupełnie odrębnymi przedsiębiorstwami, poza drobną wzajemną hutniczą kooperacją. To były wówczas jedyne elementy prawno-organizacyjne, które te dwie odrębne huty ze sobą łączyły. W tym czasie pogońska „Rurkownia” prawnie i organizacyjnie była połączona tylko z Hutą w Zawierciu, która miała tych samych właścicieli. Podobne też związki organizacyjno-prawne przez krótki okres czasu były kontynuowane po 1945 roku. Aby tego tematu prawno-organizacyjnego już jednak nie drażnić, gdyż dla przeciętnego czytelnika, a nie dla osobnika pasjonującego się hutnictwem może być nudny, przypomnę tylko o powiązaniach jakie miały miejsce pomiędzy tymi leżącymi w Sosnowcu hutami w okresie już po 1945 roku.

Przez kilka lat po 1945 roku Huta „Katarzyna” nie była w ogóle żadnymi niemi organizacyjnymi powiązana z Hutą „Sosnowiec” (z dawną „Rurkownią Huldczyńskiego”). Na ten temat dysponuję konkretnymi i oryginalnymi dokumentami. To były wówczas po prostu dwa zupełnie odrębne przedsiębiorstwa hutnicze! Pewne związki pomiędzy tymi hutami, o czym wiele osób zapewne nie wie,

nastąpiły już jednak w pierwszych latach 50. XX wieku, a nie dopiero w 1961 roku, jak się obecnie w niektórych wydaniach książkowych, czy internetowych publikuje. Z tego co wiem, te ścisłe powiązania miały wtedy miejsce przynajmniej w dwóch obszarach organizacyjnych, a mianowicie: w trakcie dokonywania operacji finansowo – księgowych, zresztą bardzo ważnych dla prawidłowego funkcjonowania każdego przedsiębiorstwa, a także w zakresie administracji. W tym czasie oficjalnie Huta „Katarzyna” funkcjonowała już jednak jako Huta im. Mariana Buczka, a z kolei „Rurkownia Huldczyńskiego” jako Huta „Sosnowiec”. Powiązania pomiędzy tymi dwoma hutami dotyczyły już wtedy skomplikowanych transakcji bankowych i zawiłych operacji finansowo-kasowo-księgowych, związanych z wypłatami dla kilkutyśięcznych załóg zatrudnionych w tych dwóch, pozornie odrębnych jeszcze wtedy hutach. Fakt ten autor zna wprost doskonale i zakodował z przekazów rodzinnych. Ograniczony możliwością w zakresie szczegółowego przekazu podaję więc obecnie tylko meritum zagadnienia. Mój ojciec, Ludwik Maszczyk, w tym czasie już pełnił w dawnej Hucie „Katarzyna”, wówczas zwanej już Hutą im. M. Buczka, funkcję kierownika monstrualnie rozbudowanego Biura Rachuby. W trakcie sprawowania nadzoru nad feralnym kopertowaniem pieniędzy dla co najmniej kilku tysięcy pracowników z tych dwóch odrębnych hut w pewnej chwili zasłabł i spadł z krzesła, doznał bowiem udaru mózgu. Zmarł dziewięć dni później w 1954 r. nie odzyskując już jednak przytomności, w szpitalu na Starym Sosnowcu przy ul. Konrada (dawny szpital żydowski). Według przekazów mojego ojca – to katarzyńskie biuro obsługiwało już wtedy wszystkich pracowników zatrudnionych zarówno w Hucie im. Mariana Buczka na Katarzynie, jak i w Hucie „Sosnowiec” na Pogoni, głównie w zakresie obiegu finansowego i dokonywania okresowych gotówkowych wypłat pracowniczych (dla robotników w postaci przedpłać co dwa tygodnie, a dla pracowników umysłowych tylko raz w miesiącu) oraz całego szeregu jeszcze innych świadczeń i usług pracowniczych (m.in.: obligatoryjne przyznawanie każdemu pracownikowi kartek na węgiel lub rekompensat pieniężnych, coroczne akcje zakupu ziemniaków, itd., itp.). Drugi przypadek znam też z własnej autopsji. Po śmierci ojca i już po jego pogrzebie, jakieś trzy lub cztery dni później udałem się do katarzyńskiego biura, aby zabrać pozostawione tam przez niego w jego urzędniczym biurku drobiazgi, a dla nas bardzo cenne pamiątki. Już na parterze, na schodach tego zmodernizowanego już wtedy budynku (który stoi tam do dzisiaj), nagle spotkałem znanego mi doskonale mężczyznę z „Białych Domów” (robotnicze osiedle Huldczyńskiego), nota bene dobrego kolegę biurowego mojego ojca, pana Żydko (imię?), który w trakcie wymiany zdań oświadczył mi, że pełni w tym katarzyńskim budynku funkcję kierownika Biura Administracji, a *„pracy ma taki ogrom, gdyż obsługuje dwie huty - Hutę im. M. Buczka i Hutę ‘Sosnowiec’ - i jak tak dalej pójdzie, to pewnie też podzieli los mojego ojca”*. Reasumując - jak się okazuje, pewne powiązania prawno-organizacyjne pomiędzy tymi pozornie odrębnymi hutami już jednak funkcjonowały, i to od pierwszych lat 50. XX wieku, mimo, iż te dwa zakłady pracy w tym samym czasie oznaczone były zupełnie odmiennymi nazwami. Jedna fabryka była bowiem **Hutą „Sosnowiec”**, a druga **Hutą im. Mariana Buczka**. Zdaję sobie doskonale sprawę, szczególnie jako były praktykujący prawnik, że takie formy powiązań pomiędzy zupełnie odrębnymi przedsiębiorstwami w prawidłowo funkcjonującej gospodarce zachodnioeuropejskiej, nie mogłyby mieć wtedy absolutnie miejsca, jednak na litość boską, to były przecież jeszcze lata wczesnego PRL, gdy cały przemysł nagle został całkowicie znacjonalizowany jedną ustawą z 3 stycznia 1946 roku. Możliwe więc, że wiele osób związanych z przemysłem funkcjonującym dotąd na odmiennych warunkach, też się wtedy pogubiło. Czego w tego typu rozważaniach nie można wykluczyć. Oczywiście, że przeobrażeń w zarządzaniu dobrami przemysłowymi, jakie się wtedy w PRL dokonywały nie rozwiązała tylko ta jedna, jedyna ustawa. Ta metamorfoza w przemyśle przebiegała jednak wtedy jakby na podstawie bajkowych, nierealnych scenariuszy, absolutnie nieznanymi nikomu w zachodniej Europie. Ale to były przecież jeszcze mroczne lata, gdy prawie wszystko stawiono już na zwariowanej skomunizowanej głowie i jak dzisiaj to już wiemy, nie takie tylko cuda się wtedy w PRL zdarzały, jak te powyżej już opisywane przez autora.

Kilka, czy nawet kilkanaście lat temu dawną Hutę „Katarzyna”, a później już przemianowaną na Hutę im. M. Buczka podzielono na trzy mniejsze i całkowicie już od siebie odrębne organizacyjnie jednostki gospodarcze, z ograniczoną produkcją hutniczą i wyjątkowo mizernym zatrudnieniem, nawet porównując te dane tylko do 1914 roku. Pomijam już całkowicie lata wielkiej prosperity gospodarczej,

jakiej te dwie huty zaznały w czasach totalnie krytykowanego przez nas PRL (duża produkcja i wysokie zatrudnienie).



Zdjęcie autora z pierwszych lata 60. XX wieku. Fragment ulicy Staszica w okolicy dawnej Huty „Katarzyna” (dawna ulica z 1907 roku, znana wtedy jako Katarzyna). Dawne pokrycie jezdni „kocimi łbami” już zastąpiono asfaltem. Po prawej stronie widoczne są jeszcze rozległe zabytkowe zabudowania fabrycznej straży pożarnej, wieża do ćwiczeń strażackich, i znak drogowy informujący o przebiegającej poniżej przez jezdnię trasy kolejki wąskotorowej wijącej się aż do żuźlowej hałdy. Natomiast po lewej stronie charakterystyczne urzędnicze zabudowania fabryczne. W pierwszym budynku na pierwszym piętrze do roku 1954 mieścił się, m.in.: Dział Rachuby i Dział Administracji. Te dwa biura obsługiwały wtedy zarówno Hutę im. M. Buczka jak i Hutę „Sosnowiec”.

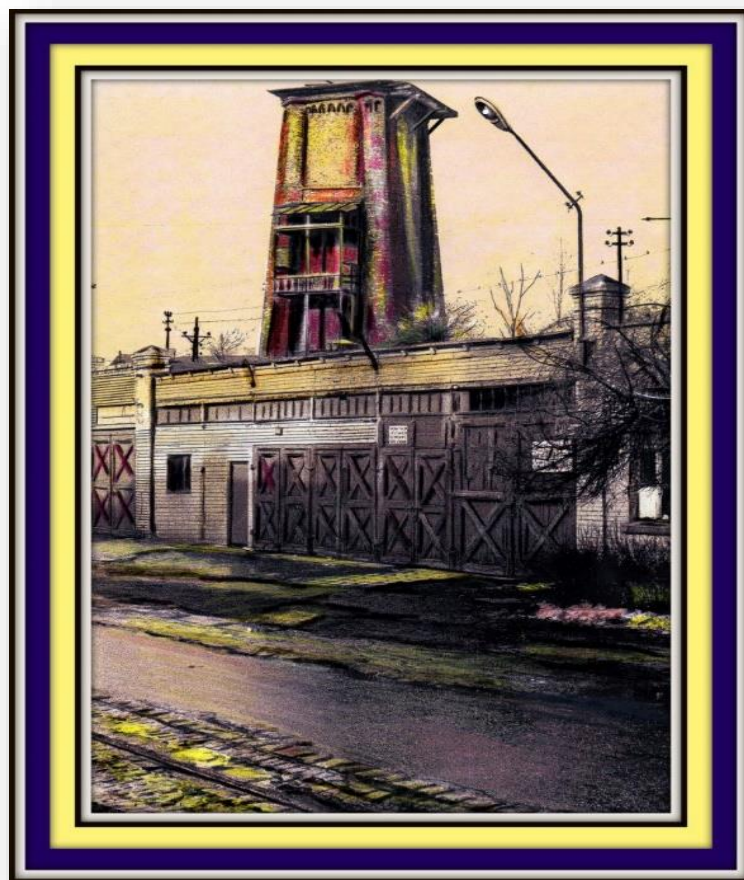
W pierwszym urzędniczym budynku widoczne są już znaczne zmiany w przebudowie architektonicznej. Po prawej stronie w dali widoczne jeszcze doskonale zabytkowe zabudowania Konstąntynowa – te utrwalone na tym zdjęciu, niestety ale już zostały wyburzone.

Tereny huty, jak widać na powyższym zdjęciu, usytuowane były po dwóch stronach przebiegającej jezdni ulicy Staszica, a w czasach zaborów Rosji carskiej początkowo jeszcze piaszczystej drogi, zwanej już jednak wtedy ulicą **Katarzyna**, trochę później już miejscami utwardzonej, a znacznie już później, bo po 1915 roku, stopniowo krytej różnymi gabarytowo „kocimi łbami”. W latach 50. – 60. XX w. bruk uliczny już całkowicie zalano asfaltem. Ten utrwalony na powyższym zdjęciu fragment przyfabryczny, jak tylko sięgam pamięcią w głęboką przeszłość, był zawsze typową ulicą fabryczną. Wiecznie zakurzoną, zamgloną hutniczymi dymami i posypaną jak tortowe ciasto odpadowym fabrycznym matowym pyłem oraz pozbawioną całkowicie nie tylko jakichkolwiek sklepów, ale i prostych miejsc ławkowych do odpoczynku. Ten odcinek ulicy pokonywało się więc w miarę możliwości i dysponowania sprawnością

fizyczną najczęściej szybko, szczególnie w trakcie spustu surówki z wielkich hutniczych pieców, gdyż specyficzny zapach u wielu przechodniów wywoływał odruch wymiotny i zakłócał też pracę narządów oddechowych. Odór, niczym zaraza, niósł się wtedy nie tylko po najbliższej okolicy, ale docierał nawet do odległych stron - Placu Tadeusza Kościuszki - mojego miejsca urodzenia i zamieszkiwania. Pamiętam jak wielu mieszkańców z mojego wtedy osiedla pośpiesznie zamykało okna, by tylko uratować swe płuca przed ponoć nieuchronną chorobą. Przynajmniej tak ten odór wówczas interpretowano, czyli jako wyjątkowo szkodliwy dla człowieka.

* * * *

Od strony zabudowań typowo hutniczych w czasach II Rzeczypospolitej Polski pociągnięto też linię tramwajową. Budowa trasy tramwajowej na odcinku kilkukilometrowym początkowo się ślimaczyła i dotarła tylko w 1933 roku z odległych Milowic do Sielca, do ulicy 1 Maja, by w 1934 roku poprzez Katarzynę dotrzeć aż do samych rogatek Konstantinowa. W zasadzie już od samego Sielca szkody górnicze doprowadziły jednak do takiej deformacji jezdni i wijących się po nich szyn tramwajowych, że jazda tramwajem po tym kopalnianym i hutniczym terenie nie należała do przyjemnych. Po prostu wibracje i niemiłosierne kołysanie, a raczej potrząsanie wozem tramwajowym było tak dotkliwe, że pasażerowie, by nie zatracić stabilnej równowagi, cały czas jak na jarmarcznej karuzeli zmuszeni byli się trzymać dwoma dłońmi niklowych poręczy tramwajowych i stać na szeroko rozstawionych nogach. Ten fragment uliczny, jak już wspominałem, zawsze sprawiał wrażenie terenu zaniedbanego. Budowa linii tramwajowej spowodowała konieczność poszerzenia pasma jezdni, oczywiście kosztem i tak już wąskiego chodnika, jaki się ciągnął od strony Huty „Katarzyna”.



Rysunek autora – lata 60. XX w. Na pierwszym planie zabudowania zabytkowej straży pożarnej z Huty „Katarzyna”. Całkiem w tyle wieża strażacka do ćwiczeń. A z samego przodu tory linii tramwajowej.

Taki niemiłosiernie wąski do pokonania chodnik znajdował się tylko od strony zabudowań i murów fabrycznych, bowiem już po przeciwnej stronie tej samej ulicy Staszica, ciągnął się tylko wydzielony pas dla pieszych, ale tylko miejscami był utwardzony kamieniem. Z tym, że już gwałtownie się kończył na odcinku stojących tam jeszcze wtedy garaży i pomieszczeń administracyjnych fabrycznej straży pożarnej z Huty im. Mariana Buczka. Wszyscy więc miejscowi ludzie, którzy kiedykolwiek przemieszczali się tym fragmentem ulicznym, to zawsze przezornie, by nie upaść i by nie nabić sobie guza, wybierali raczej wąski i niestety ale trzęsący się jak w febrze chodnik od wibracji maszyn fabrycznych i uderzeń młota pneumatycznego, leżący tuż, tuż przy murach Huty im. M. Buczka, niż ten po przeciwnej stronie ulicy, pozornie szerszy, ale tylko klepiskowo utwardzony. Po stronie huty szerszy chodnik dla pieszych usytuowany był jednak niestety ale na wyjątkowo skromnym odcinku, bowiem ciągnął się tylko tuż obok głównej portierni i głównej bramy wiodącej już na teren Huty im. M. Buczka.

Poza tą bramą, już na terenie huty, do późnych lat 50. XX wieku umiejscowiona też była specjalna towarowa waga o wymiarach prostokąta 3 m szerokości i 5 m długości. W zasadzie więc tylko poprzez tę reprezentacyjną bramę od strony ulicy Staszica przemieszczały się pojazdy wjeżdżające na teren huty po towar. Każdy jednak pojazd w takim przypadku za każdym razem był przed wjazdem skrupulatnie ważony, a później tak samo poddawany był tej samej procedurze drugi raz, gdy już opuszczał teren fabryczny wraz z ładunkiem.

* * * *

W zasadzie przyuliczna zabudowa Huty „Katarzyna”, sięgająca jeszcze odległych czasów zaborów Rosji carskiej i II Rzeczypospolitej Polski przetrwała niemal w takim samym stanie do późnych lat 50. XX w., a nawet i pierwszych lat 60. XX wieku. Oczywiście drobnitkie „modernizacje” tych zabytkowych zabudowań już na przestrzeni ubiegłych lat były z premedytacją prowadzone. Pierwszych „upiększeń” – jak to wspominał mój dziadziuś – dokonano jeszcze w jego sentymentalnych i romantycznych latach międzywojennych. Kolejne, gigantyczne, ale też kiczowate „modernizacje” oraz niezrozumiałe dla świątłych ludzi wyburzenia zabytkowych budynków nastąpiły jednak dopiero w latach 70. XX wieku. Inne zabudowania skutecznie przez lata nieremontowane, w tym nawet portiernia opiewana na kartach wielu publikacji historycznych, niemy świadek tragicznych wydarzeń z 9 lutego 1905 roku i stykające się z nią po dwóch stronach budynki, po prostu kilka lat temu runęły ze starości, a jeszcze inne prawdopodobnie celowo wyburzono, aby nie dopuścić do katastrofy budowlanej.

Wystarczy również tylko popatrzeć na kilka zaledwie prezentowanych przez autora powyższych zdjęć i porównać je ze starymi pocztówkami, by się samemu przekonać jak dowolnie, a nie profesjonalnie, potraktowano elewację zachowanych jeszcze zabytkowych budowli hutniczych. Nie uchroniono nawet jednolitej elewacji ceglanej i kolorystycznego zabytkowego ich wystroju, tylko zgodnie z nowoczesnym trendem – „*mnie wszystko wolno*” - wszystkie zabudowania pokryto tynkiem i zamalowano kolorową jaskrawą farbą. O dowolnych „modernizacyjnych” przeróbkach w wystroju architektonicznym tych budynków, takich jak wykucie nowych otworów okiennych, czy zamurowanie dawnych okien, postawienie filarów, czy nawet wstawienia od strony ulicznej drzwi do budynku urzędniczego, to nawet już nie wspominam, bo to była przecież w tamtych czasach po prostu już tylko normalka

„modernizacyjna”, do tego jeszcze ponoć kontrolowana, ale z jakże charakterystycznym przymrużeniem oczu.

Od strony wschodniej przy ulicy Staszica, czyli od strony żuźlowej hałdy, jeszcze w pierwszych latach 60. XX wieku usytuowane były zabytkowe pomieszczenia administracyjne dla straży pożarnej, w tym: kilka garaży z noclegownią, biurami administracyjnymi i specjalna, niespotykana nigdzie w Sosnowcu wieża do ćwiczeń strażackich. Kilka tych historycznych i zabytkowych zabudowań utrwaliłem na powyższym rysunku. Wymieniona wieża strażacka w dalszym jednak ciągu jest nieremontowana, więc i jej dni chyba są już też policzone. W okresie ostatniej okupacji niemieckiej (lata 1939 - 1945) obok pomieszczeń straży pożarnej wybudowano jeszcze żelbetonowy schron przeciwlotniczy, który zachował się do dzisiaj. Okupant niemiecki nie budował go jednak dla ludności polskiej, jak to niedawno starali się autorowi wmówić naiwni pracownicy z pobliskiego biura, tylko dla Niemców oraz wyjątkowo też dla pracowników z fabrycznej straży pożarnej.

* * * *

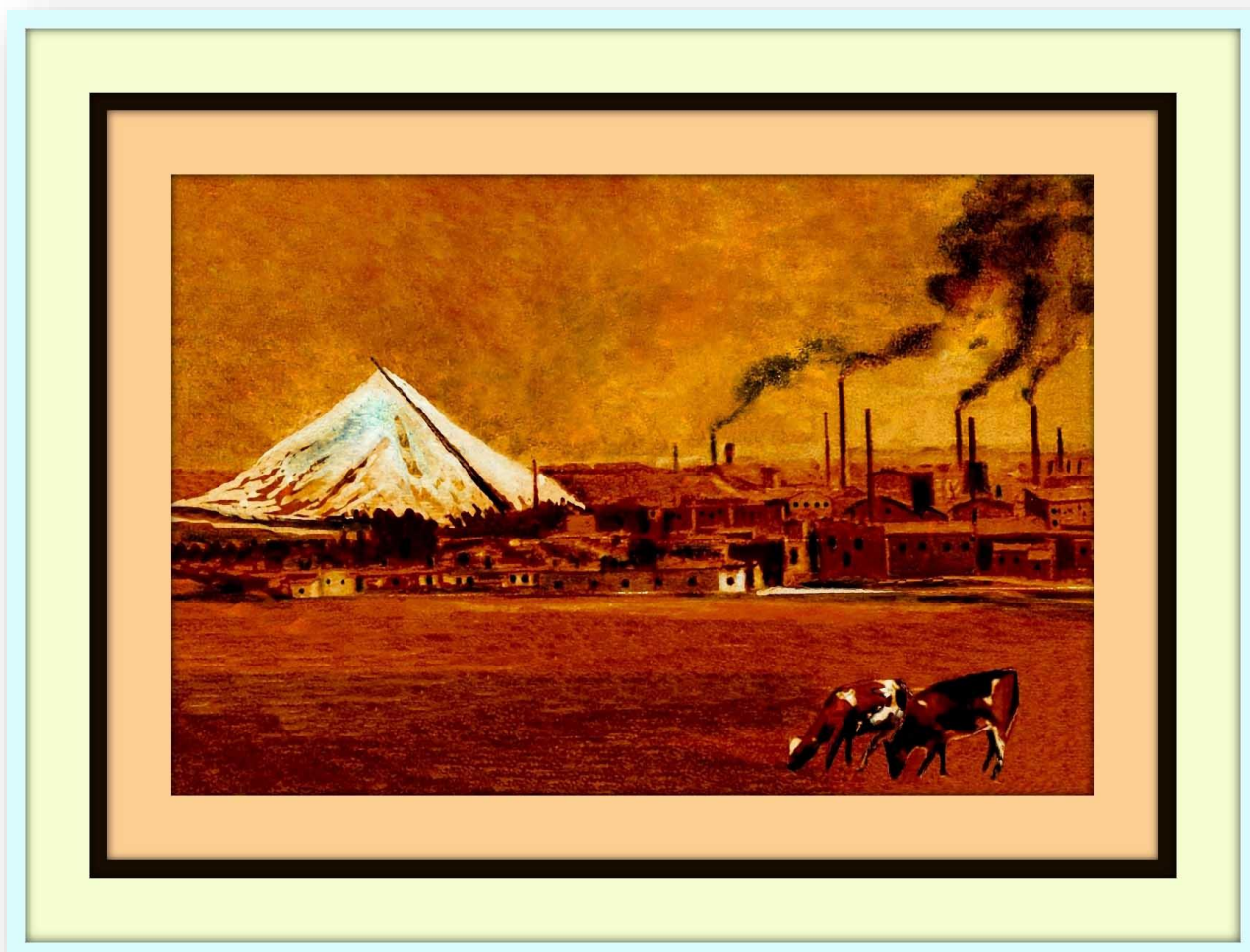
Gdy Polska była już niepodległa, w okresie II Rzeczypospolitej, a konkretnie to w 1923 roku, hutę przejęły Modrzejowskie Zakłady Górniczo – Hutnicze SA. W wyniku fuzji w 1934 roku ze spółką akcyjną H. Hantke, „do września 1939 r. Huta Katarzyna jest jednym z przedsiębiorstw w spółce: - „Modrzejów - Hantke Zjednoczone Zakłady Górniczo – Hutniczych Sp. Akc., Dyrekcja w Sosnowcu”. Koniec cytatu z „Przewodnika po Zagłębiu Dąbrowskim” (wyd. Sosnowiec 1939, s.145). Jak z tych samych źródeł pisemnych wynika, spółka powstała w 1920 roku, a Huta „Katarzyna” była wtedy jedną z trzech na terenie Sosnowca obok takich wielkich gabarytowo hut jak: „Milowice” i „Staszic” (dawna huta „Puszkina”). Zarząd i administracja miała jednak swą siedzibę w Hucie „Milowice”. Na przełomie lat 20 – 30 naczelnym dyrektorem ZZGH Sp. Akc. był inż. Gerhard (imię?), a jego zastępcami byli m.in. dyrektorzy: Michałowski (imię?), Stanisław Poradowski i Stankiewicz (imię?).

Huta specjalizowała się wówczas w obróbce i wytopie stali. W 1938 r. zbudowano jeszcze dwa wielkie piece stalownicze, które są widoczne na powyższych pocztówkach. W latach 1939 – 1945, czyli już w okresie drugiej okupacji niemieckiej Sosnowca, jeden z nich już jednak wyburzono. W tym samym czasie podczas okupacji niemieckiej, podobnie jak większość miejscowych zakładów pracy, również i dawna Huta „Katarzyna” nastawiona była głównie na produkcję wojskową. W hucie w tym czasie produkowano więc też pewne elementy do niemieckich łodzi podwodnych. Dopiero w późnych latach 40., a być może i w latach 50. XX wieku rozebrano drugi wielki hutniczy piec (brak precyzyjnych danych źródłowych).

* * * *

Wg. Prof. dr hab. Henryka Rechowicza („Sosnowiec. Zarys rozwoju miasta. Wyd. PWN Warszawa – Kraków 1977. S.34 i 35) „Początkowo (czytaj: huta) miała na celu przetwarzanie surówki importowanej ze Śląska, w związku z czym obejmowała stalownię oraz oddziały dalszej przeróbki (walcownię, młotownię)”. Jednak już w latach 1890 i 1895. w okolicy późniejszej wąskiej uliczki **Gampera** (obecnej uliczka Fabryczna) wybudowano dwa wielkie piece, z których jako odrzut poprodukcyjny pojawił się w ogromnej masie żużel wielkopiecowy. Prawdopodobnie właściciele tej huty już w trakcie budowy wielkich pieców zdawali sobie doskonale sprawę, że gdzieś ten odpadowy żużel w końcu jednak trzeba będzie składować, gdyż przy ówczesnej technologii produkcji nie byli go w stanie tak od razu w całości przerobić na jeszcze inne dochodowe cele. Podjęto więc decyzję, że

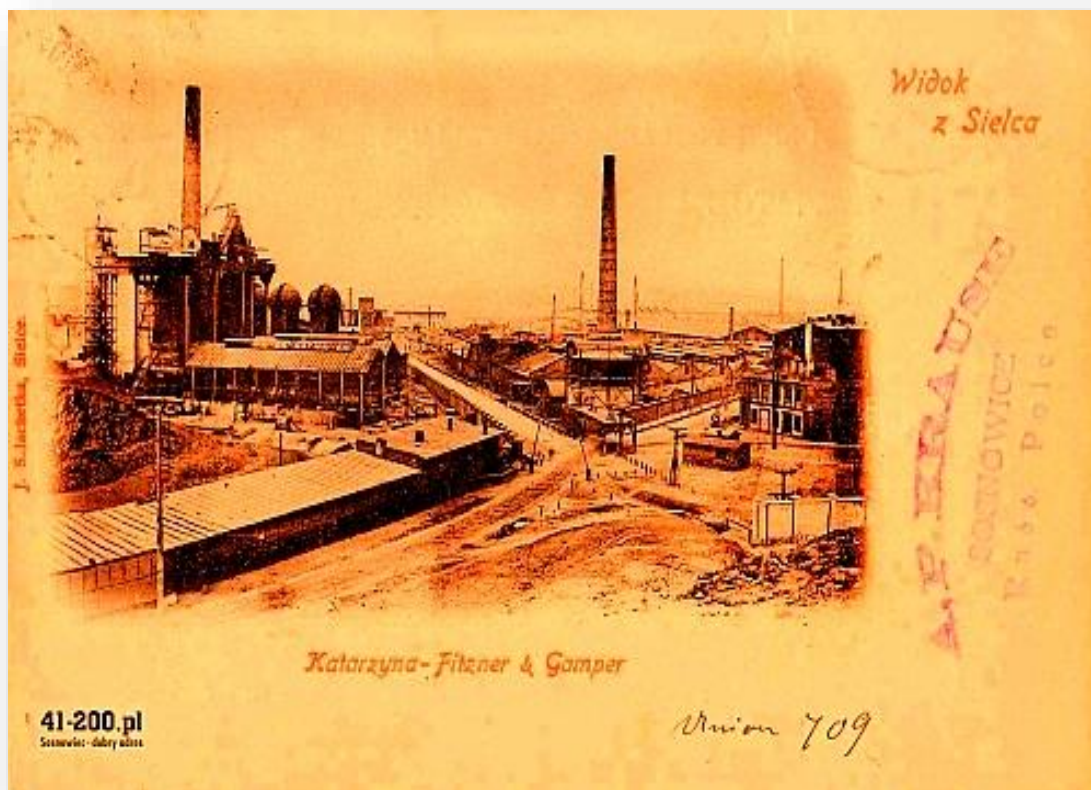
składowiskiem żużła będzie teren położony kilkaset metrów dalej już poza przebiegającą tuż obok Huty „Katarzyna” ulicą Staszica (dawna ulica Katarzyna).



Powyżej rysunek autora. Widok żużlowej hałdy od strony Śróduli. Na pierwszym planie zabudowania dawnego Konstąntynowa.

Nie znam konkretnego źródła skąd pozyskano taką kuriozalną informację, ale od pewnego czasu wśród pewnych osób parających się wspomnieniami o Sosnowcu pojawił się pogląd, że początkowo od wielkich pieców, aż do terenów, gdzie już sypano hałdę, żużel był transportowany wyłącznie w powietrzu w malutkich pojemnikach podwieszonych do długich nośnych stalowych lin, a stojąca do dzisiaj zabytkowa wieża strażacka miała być ponoć nawet stacją pośrednią pomiędzy położonymi kilkaset metrów dalej wielkimi piecami stalowymi, a samym już składowiskiem żużła. Nie znam przyczyny, ale tę wymyśloną przecież przez kogoś nierealną historyjkę co jakiś czas się jednak nabożnie i publicznie powiela. Mój dziadzius, Wawrzyniec Doros był pracownikiem Huty „Katarzyna” niemal od samego jej uruchomienia, bowiem od 1895 roku. Według jego wspomnień, żużel od samego początku jak tylko uruchomiono wielkie piece, transportowany był w specjalnie do tego celu zaprojektowanych i wykonanych wywrotowych metalowych „kolebach”, o czym więcej poniżej. Przekazy mojego dziadziusia w dużym stopniu potwierdzają też pozyskane od Pana Pawła Ptak stare pocztówki z tamtych lat, które

prezentują ten teren gdy dopiero co uruchomiono w hucie wielkie piece. Na jednej z nich widnieje nawet odręcznie wykonana data nadawcy z 22 lipca 1906 roku.



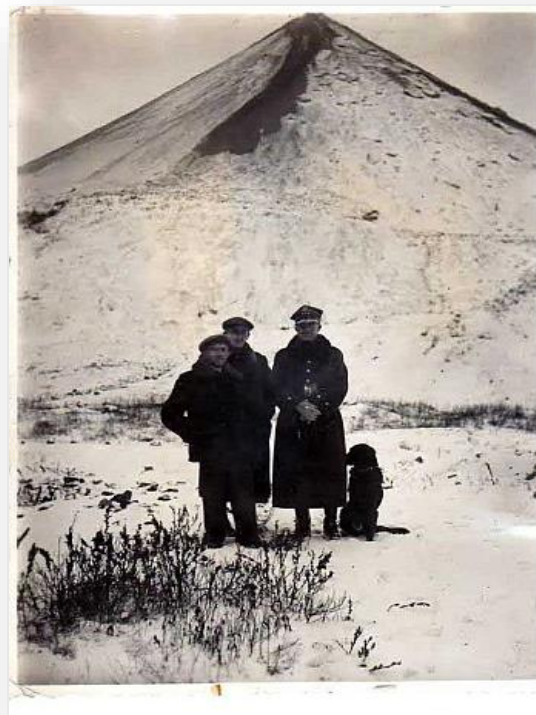
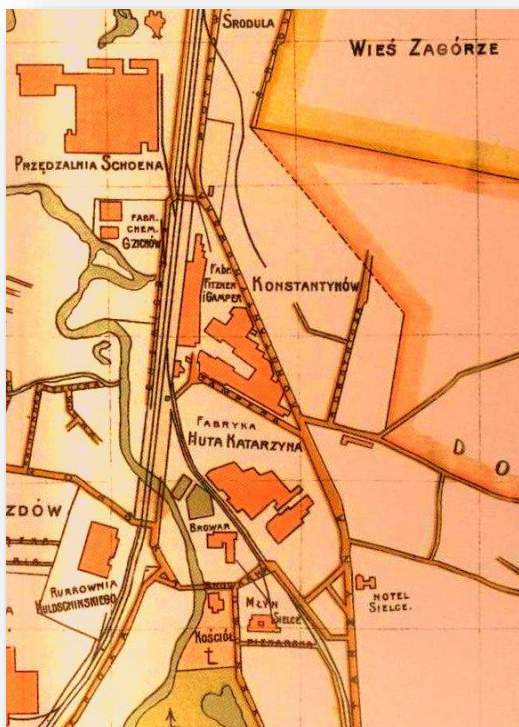
Źródło: Sosnowiec Archiwum, pan Paweł Ptak.

Droga widoczna po lewej stronie to ulica Katarzyna, a dalej ulica Konstancyńska. Stykająca się z nimi droga nosi nazwę Gampera (obecnie uliczka Fabryczna). Pocztówka prawdopodobnie pochodzi z okresu, gdy dopiero co uruchomiono wielkie piece, a miasto Sosnowiec jeszcze nie istniało. Po prawej stronie pieczęć: - „SOSNOWICE”. Na pocztówce wyraźnie widać szyny kolejki wąskotorowej i dwa szlabany uliczne zabezpieczające przejście uliczne.

Na powyższej pocztówce są widoczne tory kolejki wąskotorowej i dwa charakterystyczne szlabany zabezpieczające ten odcinek uliczny, ustawione po dwóch stronach ówczesnej uliczki Katarzyna (obecna ul. Staszica). Po powiększeniu tych pocztówek widać też szyny na terenie huty i przy samym już ceglonym murze, poza którym dopiero składowano masę żużlową. Natomiast na żadnej z dawnych pocztówek nie są absolutnie widoczne charakterystyczne słupy, które jakoby miały podpierać liny nośne transportujące z pieców hutniczych żużel na hałdę.

Z chwilą więc podjęcia decyzji o budowie wielkich pieców, naprzeciw Huty „Katarzyna” najpierw wytyczono ogromny teren, gdzie zamierzano składować te ogromne odpady żużlowe. Hałda miała być sypiana na stosunkowo dużym obszarze. O skali tego terenu może świadczyć fakt, że tylko w jej jądrze stoi obecnie Hipermarket „Plejada” wraz z ogromnym terenem postojowym dla parkujących tam samochodów. Z perspektywy minionych lat odnoszę nawet wrażenie, że fabrykanci w XIX wieku budując wielkie piece nawet sobie chyba wówczas nie zdawali sprawy, że kiedyś, po wielu, wielu latach produkcji, na wytyczonym przez nich terenie usypana zostanie, aż taka niebotyczna góra żużlu, której

obwód samej tylko podstawy będzie wynosił co najmniej od 2 do 3 kilometrów, a może i znacznie więcej. Trzeba jednak przyznać, że pod przyszłą hałdę przewidziano teren wyjątkowo rozległy, gdyż miał sięgać, aż hen na odległe zakupione od Towarzystwa Górniczo – Przemysłowego „Hrabia Renard” (Gewerkschaft „Graf Renard”) ugory i nieobsiane łąki, leżące już daleko poza postawione nieco później zabudowania fabrycznej straży pożarnej przy obecnej ulicy Staszica.



Po lewej fragment „Mapy Sosnowca” – Michała Klenicy z 1907 roku. Na mapie widoczna ulica Konstantynowska (obecna ulica Staszica) i stykająca się z nią też uliczka Gampera (obecna uliczka Fabryczna). Hałda żużlowa została zaznaczona w formie literki L.

Natomiast po prawej stronie autora zdjęcie rodzinne z połowy lat 30. XX w. Z przodu moi wujkowie, a bracia mojej mamy Stefani Maszcyk (rodowe nazwisko Doros). Od lewej: Stanisław Doros, trochę w tyle Mieczysław Doros i kpt. WP Franciszek Doros. Za plecami stojących widoczna żużlowa katarzyńska hałda. Zdjęcie zostało wykonane od strony dawnych renardowskich łąk i pól. Od czasów II Rzeczypospolitej Polskiej, aż do lat 50. XX wieku, w miejscu tym usytuowano też pracownicze ogródki działkowe, z których jeden pozyskali też moi dziadkowie Doros, mieszkańcy pobliskiego osiedla Huty „Katarzyna”.

Hałda, zgodnie z planem zabudowy, miała być ogrodzona wysokim murem na odcinku co najmniej kilkusetmetrowym, szczególnie od strony wznoszonych w pośpiechu niskich zabudowań Konstantynowa i częściowo też od strony Huty „Katarzyna”. Mur według pierwotnego projektu miał być nie tylko wysoki i solidny ale, jak to wówczas też praktykowano, także ozdobny. Według pierwotnych założeń, podstawowym jego budulcem miała być bardzo wtedy popularna cegła, lub kamień wapienny. Ten ostatni wymieniony materiał budowlany pozyskiwano z wielu pobliskich kamieniołomów. Głównie jednak z kamieniołomu położonego na Katarzyńskim Pekinie. Już wtedy doskonale jednak zdawano sobie sprawę, że budowa urokliwego muru na tak wielkim zaplanowanym obszarze, będzie niestychanie kosztowna. A fabrykanci, mimo że dysponowali górą pieniędzy, jak na wykonywaną przez siebie profesję przystało, zanim przystąpili do zakupu materiałów, to najpierw ze wszystkich stron oglądali i liczyli każdy dosłownie rubel, zanim go na coś konkretnego wydali. Bowiem w świecie wielkich

biznesów, każdy pieniądz musi się pomnażać, a nie przynosić straty, nawet planowane, jak to już bywało w PRL po 1945 roku. Powstałe już w 1884 roku Towarzystwo Górniczo – Przemysłowe „Hrabia Renard” (Gewerkschaft „Graf Renard”) budowało więc tanio, gdyż wykorzystywało z własnych katarzyńsko - pekińskich kamieniołomów nie tylko solidny, ale niezwykle też ozdobny, a tym samym również efektowny kamień wapienny. Z kolei katarzyńscy fabrykanci zaplanowali specjalną cegłę, która w ich przypadku była tanim surowcem budowlanym. Przewidzieli bowiem z góry, że na terenie huty, lub gdzieś obok, powstanie też duży wydział produkcji wysokogatunkowych pobielanych cegieł. O uruchomionej w Hucie „Katarzyna” cegielni umieszczono więc nawet szumną informację, na specjalnej, reklamującej tę hutę ulotce. Pod jedną z pozycji widoczne jest oświadczenie, że „*Huta posiada własny oddział...[...]. (poz. 9)... Cegielnię, w której maszynowo wyrabia się cegłę cementową ze szlaku od wielkiego pieca*” (*ulotka jest prezentowana wyżej*). Cegły bowiem miały być produkowane z odpadów żużła wielkopiecowego. Żużel swoim wyglądem do złudzenia przypominał wulkaniczną grudę, tylko był od niej bardziej jasny, wprost niekiedy jakby pobielany. I tak się w rzeczywistości w najbliższym czasie stało. Będąc przy temacie warto jeszcze przypomnieć, że produkcja cegieł z własnego żużła wielkopiecowego okazała się na tyle intratna, że w następnych już latach zabudowano nią nie tylko niektóre hale produkcyjne i budynki hutnicze, ale nawet wszystkie nowo wznoszone piętrowe osiedlowe komórki i niektóre budynki na osiedlu mieszkaniowym katarzyńskim. Duże ilości cegieł też odsprzedawano. Zakupili je nawet właściciele leżącej obok Fabryki Kotłów Parowych W. Fitzner i K. Gamper, dzięki czemu za stosunkowo niską cenę postawiono niezwykle efektowny i wysoki i ozdobny mur jaki na stosunkowo dużym odcinku drogi oddzielał tę nowopowstałą fabrykę od dzisiejszej ulicy Staszica. Tym samym murem z cegły zabudowano też tereny Huty „Katarzyna” na sporym odcinku wzdłuż uliczki **Gampera** (dzisiejsza uliczka Fabryczna), co wprost doskonale jest widoczne na prezentowanym w tym artykule rysunku autora. Takim samym murem odgradzono też usypywaną obok Huty „Katarzyna” z miejscowego żużła wielkopiecowego stożkową hałdę, ale w zasadzie tylko wzdłuż dawnej krzyżówki dróg, określanych jako **Katarzyna, Konstantinów i Gampera**.



Zdjęcie autora z lat 90. XX wieku. Dawna ulica Jana Szewczyka (obecna ul. Wihelma Fitznera – Konrada Gampera) i po lewej stronie opisywany wyżej zabytkowy mur jaki odgradzał tereny gdzie sypano żużlową hałdę od zabudowań osiedlowych Konstantinowa. Ten ozdobny i zabytkowy mur już jednak zburzono, i to

zaledwie w kilka lat po tym jak wykonałem to zdjęcie, co już widać na poniższej, też autora fotografii z 2008 roku.



Dlaczego jednak o tym intratnym interesie wspominam? Ano tylko dlatego, że po 1945 roku - jak pamiętam, to ciągle się publicznie głowiono i wielokrotnie też bezradnie załamywano ręce jak w końcu wykorzystać tę ogromną zgromadzoną masę materiału żuźlowego z katarzyńskiej hałdy?..... Te lamente były tak rozległe i na tyle rozpaczliwe, że nawet dotarły do urzędniczych biur w sosnowieckiej Hucie im. Mariana Buczka (dawne zabudowania Huty „Katarzyna”), gdzie jeszcze wtedy zatrudniony był mój ojciec, Ludwik Maszczyk. Dzisiaj z perspektywy upływu czasu, nie jestem w stanie logicznie sobie wytłumaczyć, skąd wtedy wśród dorosłych już przecież ludzi, ponoć nawet fachowców, brały się te pełne tragedii znaki zapytania.

Jak już wspominałem, mur miał być niesłychanie długi, gdyż w projekcie założono odgródzenie nim od hałdy nie tylko ogromnej i długiej jak tasiemiec części rozbudowywanego już wtedy Konstantinowa, ale miał się jeszcze ciągnąć wzdłuż dzisiejszej ulicy Staszica, wtedy jeszcze wiejskiej drogi, aż po same dopiero co stawiane tam garaże katarzyńskiej fabrycznej straży pożarnej. Nie przewidywano jednak nigdy odgródzenia murem hałdy od zalegających tam z T. G. – P. „Hrabia Renard” łąk i pól. Od tamtych pachnących kolorowymi łąkami stron, dostęp a nawet dla odważnych wejście na samą hałdę nie stanowiło więc absolutnie nigdy żadnego problemu. Wprawdzie oficjalnie, w celach bezpieczeństwa istniał zakaz wchodzenia na hałdę, był on jednak traktowany przez miejscowych z jakże charakterystycznym przymrużeniem oka. Opisywany ceglany mur stawiano stopniowo, w miarę jak pozyskiwano z własnej cegielni coraz to więcej materiału budowlanego. Mur na styku obecnych ulic: Wilhelma Fitznera i Konrada Gampera ciągnął się poza postawioną tam powstańczą kapliczkę. Uczciwie jednak muszę stwierdzić, że dzisiaj już trudno ustalić, który z tych obiektów postawiono jako pierwszy, gdyż data postawienia kapliczki absolutnie nie pokrywa się z datą, jaka na niej obecnie figuruje (jest napis 1863), ponieważ okupant moskiewski nigdy by nie wyraził zgody na postawienie obiektu, który by czcił zryw Powstania Styczniowego. Co do tego ostatniego stwierdzenia, to jestem pewny w 100%!

Z chwilą więc rozpoczęcia w XIX wieku produkcji surówki wielkopiecowej zaczęto materiał żuźłowy wywozić głównie na okoliczną hałdę. Tylko znikomą jego część dostarczano też do miejscowego wydziału, w którym już wtedy produkowano z niego pobielaną cegłę. W tym celu od wielkich pieców, poprzez wiejską jeszcze wtedy drogę zwaną **Katarzyna**, a późniejszą ulicę **Staszica**, pociągnięto więc bezpośrednio tory kolejki wąskotorowej, aż na same, stosunkowo odległe tereny, gdzie miano sypać hałdę, co widać na powyższej pocztówce. Szyny kolejowe kładziono już w latach 1890 – 1895.

Na tym ostatnim terenie zbudowano też kilka bocznic i niskie zabudowania dla pracowników. Odtąd, a nawet jeszcze w latach 50. XX wieku, trasa kolejki wąskotorowej wiodła więc poprzez jedną matolowo - siatkową bramę dwuskrzydłową usytuowaną mniej więcej na końcowych metrach katarzyńskiego hutniczego muru, w miejscu dzisiejszej krzyżówki ulic: Staszica z ul. Fabryczną (wtedy ul. Gampera). Drugą natomiast taką samą dosłownie bramę usytuowano już po przeciwnej stronie tej samej wiejskiej drogi, wmontowując ją w wysoki ceglany mur. Te dwie leżące pod dwóch stronach tej samej ulicy dwuskrzydłowe bramy, w ciągu tylko jednego dnia bywały wielokrotnie otwierane i zamykane. Po latach już nie prezentowały się więc tak dostojnie jak to było kiedyś. Przy bramie od strony Huty „Katarzyna” stał Domek dróżnika (w stanie zdewastowanym istniał jeszcze w latach 60. XX w.), a dyżurujący w nim przez całą dobę dozorca zawsze kierował ruchem wahadłowym przejeżdżające tam przez jezdnię, malutkie wywrotowe wagoniki, zwane popularnie kolebami oraz obsługiwali też postawione tam szlabany.

Jak przebiegał w rzeczywistości transport tego wielkopieczowego żużla? Ano w ten sposób, że w tym samym dosłownie czasie, kiedy jedne załadowane po brzegi „koleby” wciągano już na teren gdzie sypano hałdę, inne, już puste, stojące na bocznicach ściągano aż pod sam hutniczy wielki piec. Praca fabrycznego dróżnika stała się jeszcze bardziej odpowiedzialna za chwilę gdy tylko poprzez tę samą ulicę pociągnięto też trasę tramwajową, a także kiedy tylko zwiększył się w tym rejonie ruch pieszych, konnych pojazdów kołowych oraz rowerów, motocykli i samochodów, itp. „Koleby” metalowe wywrotowe przez wiele lat były zawsze ciągnięte przez potężne dwa konie rasy perszeron. Ich podstawową cechą była przede wszystkim ogromna siła ciągu oraz odporność i wszechstronność użytkowania. Ten typ konia wywodził się z regionu La Parthe z Francji. A powstał w wyniku wieloletniej krzyżówki koni lokalnych z innymi rasami. Jak to wynika z Wikipedii A, to na tereny okupowanej przez Rosję carską Polski tego typu konie był sprowadzane od 1885 roku, aż „*do I wojny światowej, głównie jednak tylko do Radomia i Lublina*”. Koniec cytatu. Jak się więc okazuje to do informacji zawartych w Wikipedii A również i autor tego artykułu coś wniósł nowego. Obecnie jednak już trudno ustalić dokładną datę kiedy te konie trafiły też do Huty „Katarzyna”.

Dopiero po wielu latach wagoniki spod wielkiego pieca i to już w zdecydowanej większej liczbie jak to było dawniej w kierunku hałdy zawsze tylko pchała, a nie ciągnęła malutka przetokowa parowa lokomotywka. A pchała je, a nie ciągnęła tylko dlatego, gdyż na tym odcinku trasa torowa był niewiele ale jednak wzniesiona w kierunku hałdy, co zagrażało odcięciu się od transportu ostatniego lub nawet kilku z ostatnich wagoników. A to już stwarzało poważne zagrożenie dla przemieszczających się przechodniów i przejeżdżających pojazdów przez ten fragment ulicy Staszica. Po 1945 roku zastąpiono ją już jednak lokomotywką spalinową. Obydwie lokomotywki, które mogły obecnie wzbudzić podziw turystów, jednak już nie dotrwały do naszych czasów, gdyż zostały zezłomowane lub odsprzedane.

Technika wywożenia i sypania żużla była niesłychanie prosta. Na terenie, gdzie wznoszono hałdę, po jednym wagoniku podczepiano do masywnej liny i następnie już mechanicznie wciągano go aż hen, hen na sam szczyt stopniowo usypywanej góry. Tam dopiero, na samym już szczycie hałdy, odpowiednio skonstruowane mechanizmy uruchamiały wagonik w ten sposób, że przechylał się raz na jedną, a drugi raz na drugą stronę szyn, za każdym razem wysypując ze swych wnętrzy żużel. Jak pamiętam, niekiedy wysypany z „koleby” żużel jeszcze jakby rozpaczliwie buchał kłębam dymu i to z taką niesamowitą intensywnością, że specjalna ekipa pracowników z Huty Katarzyna” musiała się wtedy pośpiesznie wdierać na szczyt samej hałdy, by te tłące się jeszcze resztki żużla skutecznie ugasić. Wieczorną natomiast porą, bardzo często widoczne były nawet z mojego Placu Tadeusza Kościuszki niesamowite obrazki, jak rozżarzone do czerwieni grudy żużla wypadając z „koleb” toczyły się jeszcze daleko w dół niczym kule śniegowe.

Podobno – jak wspominał to mój dziadzius – zdarzały się też przypadki, iż nierozsądny osobnik, który w trakcie wysypywania żużla zbliżył się doń zbyt blisko, ulegał solidnemu poparzeniu i takiego delikwenta karetka pogotowia transportowała do szpitala na leżący w pobliżu Katarzyński Pekin. Trasa kolejki wąskotorowej skonstruowana była identycznie jak dzisiejszy wyciąg na Gubałówkę w Zakopanem. Może jako ciekawostkę warto też jeszcze przypomnieć, że liny do transportu wywrotowych koleb dostarczyła ta sama firma, a była nią - Sosnowiecka Fabryka Lin i Drutu - która jako pierwsza w historii naszego kraju zainstalowała też liny do kolejki linowej w Zakopanem na trasie z Kuźnic na Kasprowy Wierch, z przesiadką na Myślenickich Turniach i na Gubałówkę (więcej na ten temat w artykule autora pt. „*Z Sosnowca na Kasprowy Wierch – na mojej stronie internetowej www.wobiektynie2018.5v.pl*”).

Mijanka wagoników następowała zawsze mniej więcej w połowie stopniowo z każdym niemal dniem wznoszonej hałdy. Co pewien okres czasu na szczyt usypywanego sosnowieckiego „Giewontu”, w miarę jak rósł w naszych oczach, musieli się więc też wdzierać nie taternicy, ale odpowiednio do tego celu przyuczeni pracownicy, pozbawieni jednak lęku wysokości, by dodatkowo dopiąć nowe torowisko. I tak z roku na rok powstawała coraz to wyższa i wyższa, niemal sięgająca chmur biała jak śnieg góra. Usypywanie stożkowej góry całkowicie zamarło dopiero gdzieś pod koniec lat 50. XX wieku, z chwilą wygaszenia w Hucie im. M Buczka ostatniego wielkiego pieca. Na jednym z powyższych zdjęć, wykonanym przez autora w pierwszych latach 60. XX wieku jeszcze więc widnieje po prawej stronie, obok chodnika znak drogowy ostrzegający, że kilkadziesiąt metrów poniżej widocznej ulicy Staszica przebiegają tory kolejowe (znak parowozu i charakterystyczne ukośne w kolorze czerwieni kreski). To nic innego jak poprowadzone jeszcze w XIX wieku tory kolejki wąskotorowej z Huty „Katarzyna” na tereny, gdzie sypano hałdę (jedno ze zdjęć powyżej).

Hałdę likwidowano stopniowo, bowiem jeszcze w roku 1967 nawet z odległego dawnego Parku Renardowskiego, dzisiaj zwanego Parkiem Sieleckim była widoczna stosunkowo duża jej część. Po wielu, wielu latach śnieżnobiała, kilkusetmetrowa katarzyńska hałda stała się widocznym i charakterystycznym oraz przemysłowym symbolem miasta Sosnowca. Przez wielu więc była namiętnie fotografowana i podziwiana. W tamtych latach była też prawdziwym widokowym hitem Sosnowca. Jak już wspominałem, widoczna była bowiem nie tylko z dalekich okolic Sosnowca. Szczególnie wprost doskonale swą bielą harmonizowała z szafirowym tłem sklepienia nieba – była więc nawet podziwiana przez mieszkańców z dalszych okolic Zagłębia Dąbrowskiego i terenów Górnego Śląska, przynajmniej z Dąbrówki Małej, gdzie się urodziła i przez wiele lat też się wychowywała moja żona – Renia Maszczyk. Bardzo często po latach wspominała, że ta stożkowa biała góra była niezwykle uroczą, wprost przecudowną wizytówką Sosnowca.

Jeszcze jako młodzieniec w latach 50. XX wieku wraz z kolegami klasowymi z Liceum ogólnokształcącego im. Stanisława „Staszica”, już jako „wytrawny przewodnik”, pełen też z tego tytułu młodzieńczej dumy, bywałem więc wielokrotnie na jej szczycie. Na jej wyjątkowo szerokim podnóżu, wzniesionym na około 40 metrów powyżej poziomu okolicznych pól i łąk, nawet opalaliśmy się z kolegami klasowymi. Z tym opalaniem związana jest zresztą sztubacka historia, która mogła się nawet dla nas zakończyć poważnymi urazami skóry. Jeden bowiem z moich kolegów klasowych z Liceum „Staszica” wpadł na taki kuriozalny pomysł, by całe ciało pokryć oliwką zmieszaną z jodyną, co miało ponoć znacznie i skuteczniej przyspieszyć sam proces opalania skóry. Dobrze, że te nierozważne eksperymenty skończyły się tylko na lekkim poparzeniu ciała. Może jeszcze tylko wspomnę, że nawet nie trzeba się było zbytnio wdrapywać na jej niebotyczny śnieżny szczyt, gdyż po pokonaniu zaledwie kilkadziesiątu metrów, widoki jakie się już z tej wysokości rozpościerały, zapierały wprost dech w piersiach.



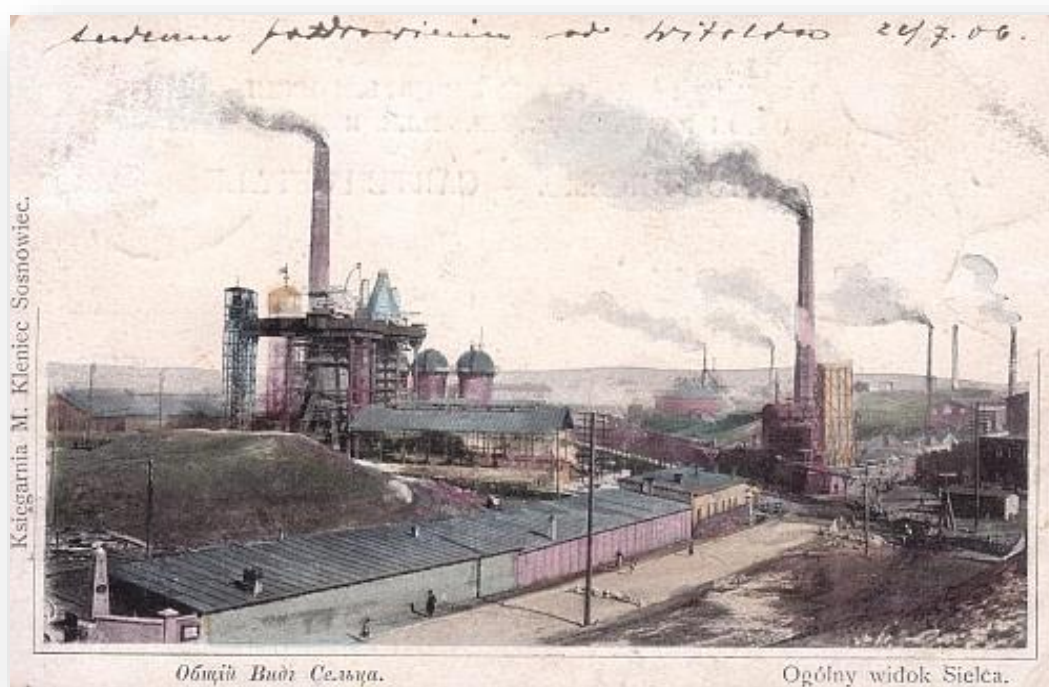
Rysunek autora – lata po 1945 roku. Widok od strony Środuli. Na pierwszym planie zabudowania Konstąntynowa. W oddali majestatyczna stożkowa żużłowa hałda, niezwykle widokowa jak na dzisiejsze czasy. Symbol przemysłowej przeszłości Sosnowca.

Dzisiaj niestety ale opisywana hałda już nie istnieje. Propozycji dotyczących efektywnego zagospodarowania hałdy, krążących w kręgach intelektualnych Sosnowca było wiele. Możliwe, że niektóre propozycje były jednak nierealne, inne być może były blokowane przez pewnych osobników. Nie docierały więc skutecznie na szczyty decydenckie, a konkretnie to do Komitetu Miejskiego PZPR w Sosnowcu, bowiem w tych kręgach partyjnych niektórzy traktowali ją nie jako widokowy i charakterystyczny symbol miasta Sosnowca, lecz jako wizytówkę dawnego, zgniłego kapitalizmu. Przypominam też sobie, o czym już wspominałem wyżej, że jednocześnie ciągle w dyskusjach przewijały się jałowe i prymitywne pytania: jak tę wielką górę złota w końcu jednak wykorzystać? Pojawiały się też w kręgach intelektualnych szeptane propozycje. Oto tylko jedna z ówczesnych wizji zagospodarowania tego wprost bajkowego sosnowieckiego cacka. Podobno była propozycja, by na niebotycznym szczycie hałdy wybudować piękny i rozległy taras widokowy z iluminacją świetlną i kawiarnią, z dojazdem na szczyt kabinową kolejką wysokogóorską lub linową. Czy te wizje były jednak prawdziwe, czy tylko plotką ? Malowniczą hałdę jednak wbrew temu od późnych lat 60. XX wieku systematycznie likwidowano. Dzisiaj po niej więc nie pozostał już żaden ślad.

Pośród miejscowej ludności pojawiały się nawet szeptane sensacje, wówczas jednak traktowane były jako tylko plotki, jakoby ta biała żużłowa góra miała być szkodliwa dla zdrowia okolicznych mieszkańców. W każdym bądź razie oficjalnych ostrzeżeń o szkodliwości składowanego żużla nigdy w żadnej formie nie opublikowano. Nawet na obrzeżach hałdy nie stawiano też ostrzegawczych tablic. Czy wynikało to jak zwykle z organizacyjnego bałaganu, czy władze starały się ten fakt przed społeczeństwem jednak ukryć, by nie wzbudzać paniki i lawiny interwencji. To tego oczywiście nie wiem.

* * * *

Jak już wyżej zasygnalizowałem, z Konstąntynowem i z Powstańcami Styczniovymi, od zawsze jak tylko pamiętam, związana jest też historia kapliczki powstańczej, która według sosnowieckich historyków i przeróżnej maści publicystów została już ponoć postawiona w Konstąntynowie w 1863 roku, czyli jeszcze w trakcie trwania krwawych walk powstańczych i towarzyszącej tym patriotycznym wydarzeniom całej gamy przeróżnych represji stosowanych wobec zrywających zaborcze kajdany Polaków. Na jej temat w okresie po 1945 roku z premedytacją jednak milczano i nie dociekano też absolutnie żadnych związanych z nią szczegółów, tak jak to ma miejsce w ostatnich dziesiątkach lat. Z tego tytułu narosło więc tyle legend i bajkowych wręcz opowieści powstańczych, przekazywanych z lubością przez autorytety wywodzące się ponoć z grona sosnowieckich historyków, że nie będę ich teraz też bezkrytycznie powielał. Zastanawia mnie jednak tylko jedno. Dlaczego w okresie II Rzeczypospolitej Polski, gdy jeszcze żyli Powstańcy Styczniovie i miejscowa ludność jeszcze znała też te tereny z autopsji, przynajmniej od drugiej połowy XIX wieku, nie starano się nagłośnić i wyjaśnić historii postawienia tej symbolicznej kapliczki? Na pozyskanej w październiku 2015 roku pocztówce od redaktora portalu „Sosnowiec Archiwum”, pana Pawła Ptak, a wysłanej przez nieznanego adresata do nieznanego mi osoby 22 lipca 1906 roku, podobnie jak na powyższej starej pocztówce, wydanej już po 1895 roku, a pozyskanej z tego samego życzliwego źródła, kapliczka ta w tej okolicy jest jednak o dziwo absolutnie niewidoczna. A jest niewidoczna tylko dlatego, gdyż po prostu w tej okolicy, ta kapliczka w 1863 roku, za czasów zaborów Rosji carskiej w ogóle jeszcze nie istniała !



Źródło: Paweł Ptak

Już kilka lat temu o tym kuriozalnym bajkowym fakcie wspominałem na portalu „Poznaj Sosnowiec”, którego redaktorem był wtedy pan Karol Ligęza, że w okresie zaborów Rosji carskiej nikt przy zdrowych zmysłach by nie wydał nikomu absolutnie jakiegokolwiek zgody na stawianie tego typu patriotycznych i dziękczynnych, wręcz gloryfikujących Powstanie Styczniowe pamiątkowych kapliczek, do tego jeszcze wybitnie antyrosyjskich. Z tego co wiem, to pierwsze takie kapliczki, z antydatowanym rokiem 1863 zaczęły pojawiać się na terenie Sosnowca dopiero po jego zajęciu przez wojska niemieckie w 1914 roku. Temat dotyczący stawiania w Sosnowcu pamiątkowych kapliczek Powstańcom Styczniowym w okresie zaborów Rosji carskiej i związane z nimi bajkowe, wręcz nielogiczne i legendarne opowieści, wymagają więc jednak zupełnie odrębnego korygującego tę tematykę artykułu.

Jak wyżej niemal na wstępie zasygnalizowałem, pozyskane powyższe pocztówki od pana Pawła Ptak, są do tego jeszcze specyficznie opisane, gdyż na zdjęciach utrwalono już integralne tereny Katarzyny, a przede wszystkim Hutę „Katarzyna” i pierwsze zabudowania terenów Konstantynowa oraz fragmentarycznie z tym terenem związaną też fabrykę kotłów W. Fitzner i K. Gamper położoną na terenie Konstantynowa, a nie jak głosi umieszczony na niej napis: „Ogólny widok Sielca”. W tym bowiem już czasie tereny Sielca dla zamieszkałych tu świątłych ludzi, kończyły się bowiem co najmniej około dwa kilometry stąd, przed dawnym wiaduktem kolejowym, pod którym w parowie z Kopalni „Hrabia Renard” biegła już od 1886 roku w kierunku „Wenecji” bocznicą kolejowa (więcej na ten temat w moim artykule „ZAUŁKAMI NOWEGO SIELCA cz. 1; artykuł jest dostępny na mojej stronie internetowej). Ten charakterystyczny podział topograficzny tych terenów jest doskonale zresztą znany starszemu jeszcze wiekowi pokoleniu mieszkańców z Sosnowca, a szczególnie tym, którzy różnymi nićmi rodzinnymi od wielu, wielu lat byli z tymi terenami zawsze uczuciowo związani.

* * * *

Na tej samej powyższej pocztówce, gdzie widnieje napis: „Ogólny widok z Sielca”, pozyskanej od pana Pawła Ptak, w samym rogu od dołu po lewej stronie, przy głównej bramie wiodącej wtedy na teren huty widoczny jest kilkumetrowy charakterystyczny stożkowy obelisk, w formie wysokiego smukłego słupa. Ten stożkowy obiekt pokryty jest prawdopodobnie jasną zaprawą cementową, lub w całości wykonano go z litego, czy spajanego kamienia. W górnej jego części, już po powiększeniu rozmiarów pocztówki jest jeszcze wyraźnie widoczny wryty krzyż równoramienny. Natomiast już poniżej krzyża jest jeszcze widoczny, trudny jednak obecnie do rozszyfrowania symboliczny odlew, prawdopodobnie wykonany z metalu. Natomiast na murze Huty „Katarzyna”, po prawej stronie tego postumentu, zawieszona jest znacznej wielkości tablica, z solidną szeroką ramą. Prawdopodobnie opisywany postument niemieccy właściciele Huty „Katarzyna”, tak jak to czyniło wtedy wielu właścicieli kopalń, hut i fabryk, poświęcili carycy Katarzynie II Wielkiej, i związany jest z uruchomieniem huty jej imienia.

cila uwagi
chlujstwo,
9 (spadek
Nikt ta

"Polonia" środa 22 czerwca 1938

rić,
to-
za-

Poświęcenie dzwonów

w Cieszynie

W niedzielę, 26 bm. odbędzie się w Cieszynie wielka uroczystość katolicka, z okazji poświęcenia nowych dzwonów dla kościoła parafialnego. Największy z dzwonów, wagi 3.500 kg., jest dzwonem Akcji Katolickiej. Uroczystość poprzedzą 3-dniowe nabożeństwa wieczorne do Serca Jezusowego dla wszystkich parafian (początek w czwartek, 23 bm. o godz. 19-ej). W niedzielę, 26 bm. o godz. 9.30 ks. infułat Kasperlik odprawi sumę pontyfikalną; kazanie wygłosi ks. prof. Pelz z Krakowa, który też będzie wygłaszać kazania podczas nabożeństw wieczornych.

Uroczystość konsekracji dzwonów rozpocznie się o godz. 14-ej na Rynku, gdzie kazanie wygłosi ks. prał. Tomanek. Konsekracji dokona i przemówienie wygłosi J. E. ks. biskup Adamski.

Po poświęceniu dzwonów wyruszy pochód na boisko gimnazjalne na uroczyste zebranie Akcji Katolickiej z przemówieniami pp. dr. Plekarskiej i sekr. gener. Sławińskiego.

O godz. 20-ej powrót do kościoła na uroczyste „Te Deum” i błogosławieństwo sakramentalne.

Usunięcie kompromitującego szyldu z bramy huty „Katarzyna“

W związku z licznymi artykułami w prasie o burzeniu cerkwi prawosławnej w Sosnowcu, pismo nasze wskazało, że jest więcej prawdziwych pomników niewoli, niż Aruch dotąd. po 24 latach od chwili wy-

pedzenia Moskali, nie usunęło.

Do takich miłych dla niektórych ludzi „pamiątek” z czasów zaborczych należał blaszany szyld, ozdabiający brame huty „Katarzyna” w Sosnowcu.

trzech zagłębi. Przedmiotem obrad będzie skrócenie czasu pracy i podwyżka płac.

Zamówienia dla fabryki W. Fitzner

(MK) Jak się dowiadujemy, fabryka kotłów W. Fitzner w Siemianowicach otrzymała w ostatnim czasie większe zamówienia na kotły, wobec czego załoga kotłarni, która pracuje na dwie zmiany, ma zabezpieczoną pracę na jeden rok. Również inne oddziały, jak mechaniczny, tokarnia i spawalnia mają zabezpieczoną pracę.

Dla załogi dyrekcja fabryki urządziła obszerną świetlicę w byłej jadalni, którą na ten cel przebudowano. Jadalnię dla załogi urządzone w podwórzu fabryki. W podwórzu fabryki założono też zielone chodniki z betonu.

Szyld ten przetrwał do dziś i mimo nieodnawiania go, napis był wyraźny i czytelny. Co najdziwniejsze, że szyld w moskiewskim języku znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie tablicy pamiątkowej z nazwiskami robotników, rozstrzelanych przez Kozaków.

Spraw szyldu, poruszona przez nasze pismo wywołała głośnie echo w całym Zagłębiu. Radni Sosnowca, grupy P. P. S. zapowiedzieli poruszenie tej sprawy na posiedzeniu Rady miejskiej, gdzie mieli domagać się interwencji zarządu miasta.

Na skutek naszego artykułu, wczoraj szyld, kompromitujący w pierwszym rzędzie właścicieli huty, a więc Koncern Zakładów Modrzejewskich został usunięty.

Teraz pozostaje jeszcze zmienić nazwę huty.

Artykuł „Polonia” z środy 22 czerwca 1938 roku pozyskałem od mojego przyjaciela, pana

Janusza Szaleckiego.

Jak wynika z powyższego artykułu, wydanego przez katowickie czasopismo „Polonia”, „*usunięcie kompromitującego szyldu z bramy Huty ‘Katarzyna’*”, nastąpiło jednak dopiero wiele, wiele lat później, gdyż dopiero w 1938 roku. Przepraszam za operowanie w tym przypadku wyjątkowymi skrótami myślowymi, ale temat jest bardzo obszerny, gdyż ówczesna brama wjazdowa na teren huty i stojąca obok portiernia, były nie tylko symbolicznie, ale nawet i tragicznie związane z wypadkami z 9 lutego 1905 roku, gdyż doszło tam do krwawych porachunków żołdaków rosyjskich ze strajkującymi Polakami, po stronie których byli zabici i ranni. Co jest jednak w tym wszystkim niezmiernie ciekawe i zastanawiające? Ano to, że przez dziesiątki lat w wolnej już i niepodległej oraz suwerennej Polsce, bowiem od 1922 roku, na murach portierni wisiła pamiątkowa płyta pamięci z imiennymi nazwiskami

zamordowanych tam 9 lutego 1905 roku Polaków. Jej twórcą był Cezary Zefiryn Uthke, wielki polski patriota, który zmarł śmiercią męczeńską 26 maja 1944 roku w niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym KL Auschwitz. Po wielu latach okazało się jednak, że nazwiska zamordowanych Polaków 9 lutego 1905 roku ustalono wyłącznie tylko w wyniku przeprowadzonych wywiadów środowiskowych, nie dokonując natomiast nigdy ich ekshumacji. A pochowani zostali pod nadzorem carskiej policji tajnej Ochra na w zbiorowej mogile na cmentarzu w Zagórz. Jakim więc sposobem ustalono tę opublikowaną listę poległych? Tematyki liczby rannych w tym przypadku Polaków nie staram się nawet poszerzyć w tym miejscu, gdyż ludzie w wielu przypadkach z przeróżnych powodów nie podają prawdy obiektywnej, tylko aby zaistnieć na kartach historii, koloryzują fakty, a nawet składają fałszywe świadectwa. Pikanterii dodaje jeszcze fakt, że przez kolejne lata, bowiem aż do 1938 roku, prawie obok siebie wisały dwie płyty. Jedna, o której już wspominałem, poświęcona pamięci narodowej poległych tam Polaków i druga dziękczynna, poświęcona z kolei carcy rosyjskiej, napisana do tego jeszcze cyrylicą. Podobno, jak wspomina pan Stanisław Andrzej Radek, wojsko rosyjskie do huty sprowadził jej pierwszy dyrektor pan Tadeusz Skawiński, który nawet „*sam osobiście - razem z carskimi żołnierzami – strzelał do tłumu z rewolweru.....[...]......Bezpośredni sprawca i uczestnik tego potwornego mordu, totr Skawiński uciekł natychmiast zagranicę*”. W tej masakrze strajkującego tłumu Polaków podobno brał udział jako dowódca carskiego wojska także drugi Polak – kapitan Antonowicz (St. Andrzej Radek, „*Rewolucja w Zagłębiu Dąbrowskim 1894-1905-1914 z licznymi ilustracjami*”; przyp. autora: pisownia oryginalna jak w tekście książki, Sosnowiec, 1929, s. 66).

Kolejnym po panu T. Skawińskim dyrektorem Huty „Katarzyna” ponoć miał zostać pan Ludwik Brandenburg, tym razem pochodzenia pruskiego.



Źródło: pan Janusz Szalecki.

Zdjęcie ponoć zostało pozyskane z archiwum prywatnego od duchownego z sosnowieckiej Cerkwi Świętych Wiery, Nadziei, Luby i matki ich Zofii dr Mikołaja Dziewiatowskiego. Na zdjęciu pani Maria Brandenburg i jej małżonek Ludwik Brandenburg.

Postać kolejnego dyrektora Huty „Katarzyna” jest jednak tak niesamowicie tajemnicza, że obecnie mimo woli trudno jest dociec prawdy obiektywnej. Niektórzy bowiem podają, że dyrektorami w tej hucie byli nawet dwaj panowie o nazwisku Brandenburg. Pan Ludwik Brandenburg, dyrektor z Huty „Katarzyna”, z tego co słyszałem od moich dziadków, to mieszkał koło huty, w jednym z ceglanych willowych budynków położonych przy obecnej ulicy Staszica (od strony hipermarketu „Plejada”). Ponoć został ciężko postrzelony przez Organizację Bojową, Frakcję Rewolucyjną PPS, o czym zresztą oficjalnie poinformował 5 stycznia 1907 roku dziennikarz z Gońca Częstochowskiego.

Z kolei pan St. Andrzej Radek w tym samym wydaniu książkowym (patrz bibliografia i przypisy, pkt. 2 i 9) na stronie 74 i 100 pisze tak: *„ Nie skorzystali z tego ostrzeżenia inni i zostali następnie zabici – dyr. Huty „Katarzyna” Brandenburg i fabrykant Szen”* (przyt. autora: pismo zgodne z oryginałem). *To podziałało. Inni fabrykanci stali się teraz ostrożniejsi w powoływaniu wojska przeciwko robotnikom, jako ‘arbitrażu’ w zatargach ekonomicznych, czy administracyjnych. Zresztą stając do krwawej rozprawy z najeżdżcą, chcąc sobie wywalczyć wolność polityczną i niepodległość kraju, robotnicy byli zmuszeni zabezpieczyć ‘tyły’ frontu walki i nauczyć kapitalistów, że w zatargach fabrycznych nie może być rozjemcą bagnet, czy kozacka nahajka....[...].....Stanisław Czaja, bojowiec od 1906 roku. On zabił szpicla Mirowskiego, brał udział w zamachu na dyrektora huty ‘Katarzyna’, Brandenburga”.....*

Jak się okazuje, w przestrzeni publicznej funkcjonują jednak dwie, sprzeczne ze sobą informacje. Pan St. Andrzej Radek podaje, że dyrektor Huty „Katarzyna” pan Brandenburg został zabity, a z kolei Goniec Częstochowski (wydanie z 5 stycznia 1907 roku) informuje, że pana Brandenburga po postrzale „w stanie prawie beznadziejnym odwieziono rannego przez Modrzejów do szpitala w Katowicach”. Jak się jednak okazuje, pytań jest jeszcze więcej. Oto tylko niektóre z nich. Dlaczego ciężko rannego dyrektora z Huty „Katarzyna”, w chwili gdy o jego dalszym życiu decydowały już tylko minuty, nie przewieziono natychmiast wtedy do położonego opodal szpitala na Pekinie, lub do Sielca, czy choćby na „Lepianki” na Pogoń, tylko pokonywano tak odległą i wyjątkowo męczącą, wręcz karkołomną jak na tamte czasy, pełną dziur i kolein trasę? Do tego jeszcze musiano wtedy pokonać granicę międzypaństwową, pomiędzy Rosją carską a Niemcami. Sama więc paszportowa odprawa też zajęła wiele czasu. Logiczna odpowiedź w tym przypadku może być tylko jedna. Możliwe, że obawiano się wówczas tego, że w tych sosnowieckich szpitalach bojówki z Frakcji Rewolucyjnej PPS ponownie zaatakują rannego dyrektora. Tematyka związana z tragiczną datą z 9 lutego 1905 roku jest jednak tak rozległa i obarczona tyloma mitami, legendami i półprawdą, a nawet niekiedy i celowymi zakłamaniem, że aby ją wreszcie w miarę swoich możliwości rzetelnie opisać, to poświęciłem temu zagadnieniu odrębną publikację: U BRAM HUTY (artykuł jest dostępny na mojej stronie internetowej : www.wobiektywie2018.5v.pl) . W tym konkretnym przypadku, jest to nie tylko moja subiektywna opinia o tej tragedii, ale to samo stwierdza również w cytowanej już publikacji pan dr Jan W. Przemsza Zieliński, kiedy dokonuje opisów tych wydarzeń. Podobnie warto też wreszcie uczciwie ustosunkować się do wyroków śmierci, jakie zadawali wtedy bojowcy z Frakcji Rewolucyjnej PPS, gdyż po latach okazuje się, że nie we wszystkich przypadkach były jednak one słuszne, ponieważ niestety ginęli w nich również niewinni ludzie.

* * * *

Jako ciekawostkę pozwolę sobie przekazać jeszcze dalszą informację. Otóż! Podobno małżonka pana Ludwika Brandeburga była rosyjską arystokratką urodzoną w Jalcie i zmarła na atak serca w czasie I wojny światowej. Jej grobowiec o niezwykle architektonicznym wystroju znajduje się na cmentarzu prawosławnym w Sosnowcu na Pogoni, przy uliczce Smutnej.

Prenumerata wynosi: Z przesyłką pocztową i odnośnikiem rocznie rb. 7.20— półrocznie rub 3.60— kwartalnie 1.80,— miesięcznie 60 kop. Co na numeru pojedynczego — 6 groszy.

Redaktora zastać można od 12 do 1 ej w południe i od 6 ej do 8 ej wieczorem.— Redakcja otwarta dzień i noc.— Reklamek nadestanych redakcja nie zwraca

ODDZIAŁY WŁASNE:
w Będzinie, ul. Stowiańska № 9. Telefonu № 184, w Dąbrowie ul. Klubowa, w Strze mieżycach, Grodzcu, Zawierciu, Pogoni, Oris № 2. — Tamże przyjmują prenumeratę „Iskry” i ogłoszenia.

ISKRA

Cena ogłoszeń: na 1-ej stronie za wiersz petitowy 60 kop., na III ej stronie 30 kop., na stronie 4 ej — 20 kop. Nadesłane za wiersz garmontowy — 1 rub. Drobne ogłoszenia po 3 kop. za wyraz. Załączenia 3 rub. od tysiąca.

Redakcja i Administracja mieszczą się pod № 3 przy ul. Krzywej w Sosnowcu — Telefon № 298. — Skrzynka pocztowa 183.

Adres dla listów i depesz „Iskra” Sosnowiec.

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

wychodzi codziennie nie wyłączając świąt — pod kierunkiem W. Monsińskiego.

Wszystkim którzy raczyli przyjąć udział w oddaniu ostatniej posługi

S. P.

Marji z Fersowów BRANDENBURGOWEJ,

a w szczególności czcigodnemu księdzu pastrowi Uthke, za gorące słowa pociechy, jak również chórowi przy miejscowym kościółku ewangelickim, oraz chórowi cerkiewnemu za wykonane pienia żałobne, składa szczere podziękowanie

L. Brandenburg i Rodzina.

Prezentowane powyżej informacje z Iskry pochodzą od autora.

Jednak żegnał ją też w kościółku ewangelickim przy ulicy **Dytlowskaja** (obecna ul. Stefana Żeromskiego) znany wówczas pastor ewangelicki ks. Eugenusz Uthke, który był też wtedy domowym duszpasterzem rodziny państwa Dietlów. Według pastora Jerzego Tytz (Informacja pozyskana z Internetu) to pastor E. Uthke „był zatrudniony i opłacany przez Henryka Dietla. Jego zadaniem oprócz posługi duszpasterskiej w rodzinie Dietla, było wykonywanie wszystkich czynności duszpasterskich dla ewangelików z Zagłębia, za darmo. Był prefektem Szkoły Realnej Dietla. Doskonale władał językiem polskim, niemieckim i rosyjskim. W 1907 roku zmarła jego żona. Podczas I wojny, gdy w 1914 r. Niemcy wkroczyli do Sosnowca, pełnił do 1915 r. funkcję dyrektora szkoły Dietla. Uczył również w przyfabrycznej szkole początkowej. W 1919 r. objął administrację filiału w Zawierciu i Pilicy. W 1921 r. przeszedł na emeryturę. Mieszkał w Sosnowcu do końca życia. Cieszył się wielkim szacunkiem wiernych i lokalnej społeczności. Zmarł 20 października 1926 r”. Koniec oryginalnego cytatu. Natomiast już na samym cmentarzu prawosławnym w Sosnowcu na Pogoni przy uliczce Smutnej pożegnał też panią Marię Brandenburg już swym śpiewem wykonanym jednak po rosyjsku - cerkiewny chór prawosławny z Sosnowca.



Zdjęcie autora z 2007 roku. Cmentarz prawosławny w Sosnowcu przy uliczce Smutnej. Jedno z dziesiątek zdjęć, jakie wtedy wykonałem na tym cmentarzu, w tym przypadku jest to grobowiec pani Marii Brandenburg.

Na jej grobowcu wyryte są jednak niezbyt wyraźnie słowa w języku staro – cerkiewno -słowiańskim: - „*Wsio ot Niego, Im i k Niemu*” (czyli: Jemu sława po wiek). Ten przekaz wg. św. Pawła z Listu do Rzymian (Rz. 11, 36) należy odczytywać następująco: „*Z Niego i przez Niego, i dla Niego [jest] wszystko. Jemu chwała na wieki*”.

Również i w przypadku pani Marii Brandenburg na wiele pytań nie jesteśmy dzisiaj w stanie jednoznacznie odpowiedzieć. W lutym 2017 roku pozyskałem, poprzez przekaz internetowy, od sosnowieckiego duchownego dr Mikołaja Dziewiątowskiego, niezwykle ciekawą publikację, gdzie również ten zakamuflowany wątek starano się wreszcie rozwikłać. Co więc z tych pozyskanych informacji w końcu wynika:- „....[...].... *Maria Brandenburg zmarła w 52 roku życia na początku pierwszej wojny światowej. Była ona żoną dyrektora Sosnowieckiej Huty «Katarzyna». Bezpośrednią przyczyną śmierci p. M. Brandenburg był udar serca.....[...].... W księgach metrykalnych parafii prawosławnej w Sosnowcu z roku 1914 znajduje się wpis stwierdzający, że Maria Pietrowa Brandenburg, ur. Firsowa, żona Luisa Jakowlewa Brandenburga, inżyniera gornago Diepartamienta, zmarła 12 sierpnia tegoż roku. Jest tam jeszcze informacja, że kobieta miała 54 lata, przyczyną zgonu była wada serca, a pogrzeb odbył się 15 sierpnia.....[...].... Dokument nazywa go inżynierem departamentu górniczego*”. Koniec cytatu.

Podobno jak z tego samego źródła wynika, to „*pan Brandenburg, który zmarł w okresie międzywojennym za granicą...[...]... Był on drugim mężem Nieboszczki. Jej dzieci z pierwszego małżeństwa 5. córek i synowie nie wiadomo gdzie się znajdują. Możliwie za granicą*”. Tyle w kwestii tematu państwa Brandenburga.



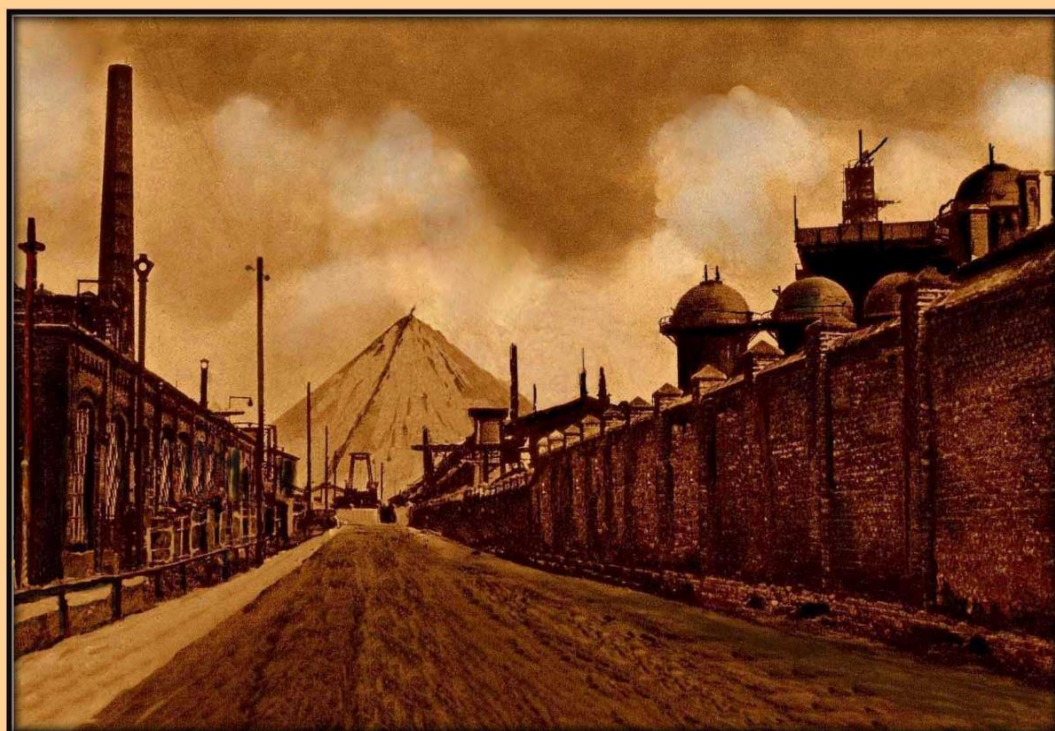
Źródło: duchowny prawosławny dr Mikołaj Dziewiatowski.

Na zdjęciach pani Maria Brandenburg.

Pozostaje do wyjaśnienia jeszcze jedna tylko ciekawostka ? Dlaczego pan Ludwik Brandenburg, czy Luis Jakowlew Brandenburg, uwiecznił się na powyższym zdjęciu w typowym stroju górniczym? Jak się okazuje - ano tylko dlatego, że to zdjęcie prawdopodobnie zostało jeszcze wykonane wówczas gdy pan L. Brandenburg był zatrudniony w górnictwie jako osoba z wyższego dozoru.

* * * *

Od północy z kolei Huta „Katarzyna” granoczyła z niezwykle hałaśliwą uliczką **Gampera**, gdzie towarzyskie rozmowy ograniczał potężny 600 kilogramowego pneumatycznego młota. Obecnie oficjalnie zwana jest już ulicą Fabryczną, a po 1945 roku z proletariackim już duchem czasu nadano jej kolejną nazwę, tym razem ulicy **Przodowników Pracy**. Natomiast przez starszych już wiekiem mieszkańców z dawnego jeszcze przedwojennego katarzyńskiego osiedla określana była z ironią jako - **Ulica Bezrobotnych**.



Rysunek autora. Lata II Rzeczypospolitej Polski. Fragment dawnej ulicy Gampera, a obecnej Fabrycznej. Po prawej dawna Huta „Katarzyna” i dwa wielkie piece. Po lewej zakład popularnie określany jako „Fabryka Kotłów Parowych W. Fitzner i Gamper.

Ta klepiskowa i wąziutka uliczka, wtłoczona do tego jeszcze pomiędzy dwie powstałe w XIX wieku rozległe terytorialnie zakłady pracy, sprawiała więc wrażenie raczej wewnętrznej fabrycznej drogi a nie ulicy miejskiej. I od zawsze, jak wspominała to nasza rodzina, była wyjątkowo zaniedbana. Skoro więc już tylko zmrok otulał te fabryczne zaułki, to również i ona tonęła w mrokach, gdyż nie była oświetlona latarniami ulicznymi. Stąd niezbyt mile pokonywali ją o tej porze dnia przechodnie. Latem natomiast była pełna mialkiego piachu i wirującego w powietrzu kurzu, cisnącego się niemiłosiernie nie tylko do oczu i ust ale osiadającego też w zakamarkach ubrania. A w dni deszczowe sprawiała wrażenie rozległej sadzawki, nie do przebycia więc była suchą nogą. Wprawdzie już od strony fabryki „K. Fitzner i W. Gamper” w okresie II Rzeczypospolitej Polski, gdy prezydentem Sosnowca był pan Aleksy Bień, ułożono dwukostkowy chodnik o długości około 250 metrów (patrz powyższy rysunek autora), który jednak raczej zawsze sprawiał wrażenie bezzębego osobnika, gdyż na jego sporej długości ktoś powyciągał cementowe płytki, a z kolei ludzie odpowiedzialni za prawidłowy stan tej uliczki udawali, że nie widzą znacznych już ubytków w jej zabudowie.



Zdjęcia powyższe autora pochodzą z przełomu lat 50. i 60. XX wieku. Na zdjęciach ulica Fabryczna, dawna ulica Gampera. W głębi na horyzoncie, poza ulicą Staszica, niewidoczna hałda żużlowa, gdyż przykryta jest mgłą. Po dwóch stronach widoczne mury z pozyskanej pobielanej cegły zakładowej z Huty „Katarzyna”.

Pokonywanie więc tego odcinka drogi o tyle jeszcze było nieprzyjemne, gdyż z dwóch stron spoza fabrycznych murów dochodziły potworne hałasy i potężne uderzenia pneumatycznego młota. O wyjątkowym nieprzyjemnym zapachu, czy wręcz nawet fetorze, jaki się wydobywał w trakcie tak zwanego spustu surówki z wielkich katarzyńskich pieców leżących tuż, tuż, bowiem zaraz poza ceglastym murem, już powyżej wspominałem. Po uruchomieniu wielkich pieców w XIX wieku – jak wspominał to po latach mój dziadzius to w trakcie spustu surówki wylewała się na zewnątrz tej fabrycznej uliczki Gampera gorąca parująca obłokami woda. Woda w obłokach pary cisnęła się z sykiem poprzez wydrążony specjalny otwór w dolnej partii ceglastego muru i wpadała wprost do ciągnącego się tam wtedy jeszcze rowu, co stanowiło z kolei wielką frajdę zabawową dla miejscowych biednych dzieciaków, głównie pochodzących z konstantynowskich robotniczych rodzin.

W ten tasiemcowy ceglasty mur, już w końcowej fazie tej drogi przez mękę, wmontowana była od strony „Wenecji” wielka dwuskrzydłowa drewniana brama, która wiodła do wnętrza Huty „Katarzyna”. To była wówczas tylko jedyna typowa i jednocześnie też wyłącznie tylko robocza trasa przewidziana dla ciężkiego transportu kołowego, który miał specjalne zezwolenie na wjazd od tej strony na teren huty. Mniej więcej w tym samym miejscu ale już po drugiej stronie tej fabrycznej uliczki, mieściła się z kolei robotnicza portiernia do byłej fabryki „W. Fitzner i K. Gamper”. W późniejszych latach, obok tej portierni umiejscowiono też fabryczną roboczą bramę.

Po 1945 roku starano się nadać tej wiecznie zakurzonej fabrycznej drodze, ale ciągnącej się w linii prostej pomiędzy dawną Hutą „Katarzyna”, a fabryką „W. Fitzner i K. Gamper” charakter miejski, więc ją pewnego wiosennego dnia pokryto tandetnym asfaltem, na dodatek jak zwykle jeszcze niechlujnie i prymitywnie oraz możliwe, że w nieodpowiednim co do temperatur pogodowych terminie. W rezultacie więc wielkie plastry asfaltu z biegiem lat popękały, a w końcu się pokruszyły. W ich miejsce więc nieubłagalnie wsiąkała woda deszczowa wypłukując dalsze utwardzone warstwy, i tak z roku na rok z malutkich kiedyś dziur, po jakimś czasie powstawały ogromne wyrwy, których o dziwo odpowiedzialni osobnicy za prawidłowy stan dróg nigdy jakoś nie dostrzegali.

Ta uliczka wiszących i jakby w konwulsji poplątanych nad głowami przechodniów różnej grubości rur oraz niemiłosiernie bulgoczących jak wściekły brytan hutniczych pojazdów i zgrzytających suwnic, dawniej na ogół sprawiała jednak wrażenie bezludnej drogi. Jednak już na kilkanaście minut przed cyklicznym wyciem kilku okolicznych fabrycznych syren, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nagle gwałtownie się ożywiła, gdyż pokonywały ją wówczas setki spieszących się do pracy robotników. Jedni bowiem na złamanie karku pędzili wtedy do pobliskiej robotniczej portierni - Fabryki Budowy Kotłów K. Fitzner i W. Gamper, a inni do leżącej troszeczkę dalej, przy ulicy Staszica portierni Huty im. M. Buczka, a jeszcze inni do dawnej włókienniczej Fabryki państwa Schoen i fabryczki „Siła”. A bywali i tacy co nawet na skróty pokonywali tą uliczkę do pogońskiej Rurkowni Huldczyńskiego i późniejszej też do Huty „Sosnowiec”.

* * * *

W końcowej fazie uliczka Gampera, już po minięciu robotniczej portierni wiodącej do fabryki „K. Fitzner i W. Gamper”, nagle ulegała jednak widocznemu zwężeniu i po pokonaniu dalszych około 30 do 40 metrów dobiegała do poprowadzonego tu jeszcze w XIX wieku strzeżonego przejścia

dla pieszych, po którym ciągnęły się aż dwie obok siebie bocznic zakładowe, co widać na poniższym zdjęciu autora. To w tym właśnie miejscu dwie bocznic kolejowe łączyły się z głównym torowiskiem dawnej Kolei Warszawsko–Wiedeńskiej. Jedna bocznic, po prawej stronie, została poprowadzona już w **1881 roku** od leżącej w pobliżu, na wyciągnięcie ręki, dawnej Huty „Katarzyna”, a druga, po lewej stronie, ciągnęła się od **1886 roku** z leżącej kilka kilometrów dalej, bowiem aż z samego Sielca, kopalni „Hrabia Renard”. Do tej ostatniej, renardowskiej bocznic, dokleiono jeszcze później bocznicę z renardowskiego browaru, a od **1904 roku** jeszcze dodatkowo bocznicę z fabryczki produkującej sztuczny lód.

Obydwie główne bocznic, poza widocznym na poniższym zdjęciu przejściem dla pieszych, ciągnęły się jeszcze dalej i dalej w kierunku Środuli i Nowego Będzina, a konkretnie to dosłownie wzdłuż wschodnich murów dawnej Fabryki Kocioł Parowych W. Fitzner i K. Gamper (w latach 70. XX w. zwanej już Fabryką Kocioł Przemysłowych "Fakop"), obok przebiegającej tam od 1856 roku głównej dwutorowej trasy Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej. Tam dopiero, obok murów fabrycznych „K. Fitzner i W. Gamper”, na specjalnie oddzielnie wydzielonych bocznicowych torach przyciągnięte przez parowóz przetokowy wagony ciężarowe obciążone towarami oczekiwały, aż specjalnie sprowadzony po nie dalekobieżny parowóz, a w późniejszych latach już lokomotywa spalinowa i elektryczna, zaciągnie je do głównej trasy Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej. Całą akcją włączenia wagonów stojących na zakładowych bocznicach do głównej trasy kolejowej, już od XIX wielu kierowali kolejarze ze swych Domków dróżnika. Jeden położony był na styku Alei i uliczki Gampera, a drugi piętrowy już po stronie „Wenecji”. Jedna z tych zabytkowych budowli, głównie o znaczeniu lokalnym, już od XIX wieku usadowiona była po lewej stronie, w miejscu gdzie na poniższym zdjęciu są widoczne gęsto i dziko rosnące obecnie tam krzewy.



Zdjęcie autora z 2007 roku. W widocznym po lewej stronie gęszczu drzew i krzewów, stał przez dziesiątki lat, od XIX wieku, aż co najmniej po lata 60. XX wieku ceglasty Domek dróżnika kolejowego. Szlabany natomiast były umieszczone po lewej i prawej stronie widocznego przejścia przez tory kolejowe.

Po prawej stronie widoczny jeszcze fragment szyn z dawnej bocznic kolejowej z XIX wieku z Huty „Katarzyna”, a po lewej z tego samego okresu czasu ale już z Kopalni „Hr. Renard” i z browaru z Nowego

Sielca. Transport wagonowy był zespalany z główną linią dawnej Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej dopiero kilkadziesiąt metrów dalej od strony Środuli i Nowego Będzina.

Jak pamiętam, to ten charakterystyczny Domek dróżnika przy Alei Gampera był typowo ceglasta, parterową budowlą, o skośnym, pokrytym papą dachu, z uprawianym przez dróżnika malutkim warzywniakiem i wiecznie ukwieconym ogródkiem. W tym parterowym budynku mieszkał jednak nie tylko sam dróżnik, ale też jego kilkusobowa rodzina. Przynajmniej taki obraz zapamiętałem jeszcze z czasów okupacji niemieckiej.

Tematyka fabrycznych bocznic kolejowych, czyli tej ciągnącej się dosłownie na odcinku zaledwie kilkudziesięciu metrów od murów Huty „Katarzyna” i tej drugiej aż z Gwarectwa „Hrabia Renard”, jaka się już z kolei wiła z odległego Sielca, od Kopalni „Hrabia Renard” aż do głównej linii Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej w okolicy „Wenecji” („Wenecja” – zabudowania nadrzeczne ciągnące się wzdłuż końcowego odcinka uliczki Chemicznej, od strony Placu Tadeusza Kościuszki i centrum Sosnowca) jest na tyle rozwlekła ale i niezwykle też frapująca, że aby to zagadnienie w miarę dokładniej opisać to należy temu zagadnieniu już poświęcić zupełnie odrębny artykuł.

.....

Jeszcze raz bardzo serdecznie dziękuję Szanownego panu Pawłowi Ptak, redaktorowi portalu internetowego Sosnowiec Archiwum, za możliwość publikacji jego pocztówek. Dziękuję też, ale niestety już tym razem nieżyjącemu Januszkowi Szaleckiemu za podarowane informujące druki o Hucie „Katarzyna” z „Polonii” i „Gońca Częstochowskiego”, z okresu II Rzeczypospolitej Polski. Mojemu przyjacielowi, niezwykle zawsze życzliwemu i o głębokim dobrocią sercu. Dziękuję również *duchownemu* z *sosnowieckiej* Cerkwi Świętych Wiery, Nadziei, Luby i matki ich Zofii *dr Mikołajowi Dzięwiatowskiemu* za możliwość opublikowania zdjęć i wyjaśnienia pewnych zawikłanych spraw związanych z państwem Marią i Ludwikiem Brandenburg. Pozostałe zdjęcia i rysunki są już własnością autora.

Artykuł został znacznie uzupełniony o nowe pozyskane fakty w stosunku do jego pierwotnych publikacji z grudnia 2013 roku oraz z lutego 2027 roku. Równocześnie dokonałem też kilku merytorycznych korekt z poprzednich jego publikacji.

Bibliografia i przypisy:

1 - Bibliografię podałem już w treści tego artykułu.

2 – Wspomnienia rodzinne i własne.

Zdjęcia utrwalane przez autora, a prezentowane w tym artykule powyżej, były zawsze uwieczniane w obecności mojej żony, Reni Maszczyk (rodowe nazwisko Prokop; Renia niestety ale już zmarła 1 sierpnia 2017 r.).

Katowice, styczeń 2023 roku.

Janusz Maszczyk